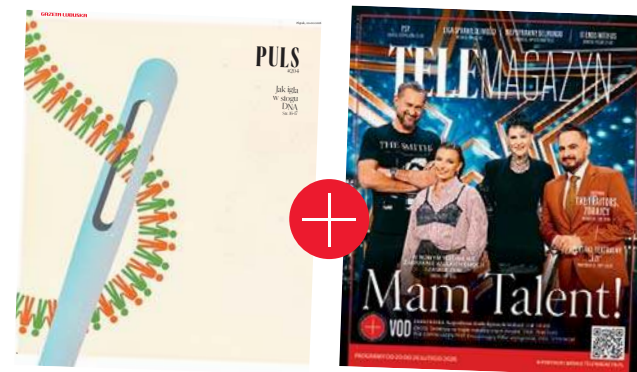


MAGAZYN *razem z dodatkami*

Genealogia. Coraz częściej tak szukamy odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy

● Ukraińcy chcą zakończenia wojny, ale nie za wszelką cenę ● Powitanie lubuskich olimpijek w Witnicy

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami seriali i propozycji filmowych



GAZETA LUBUSKA

Piątek,
20.02.2026

www.gazetalubuska.pl

Nr 42 (22.643)
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)



Zimno... brr

Pływanie zimowe to wciąż raczkująca dyscyplina sportu.
Zielonogórzanie z lodowatej wody wyławiają medale **str. 8-9**

**Dyrektor
Lubuskiego Teatru**
o powodach swojej
rezygnacji **str. 2**

Ryszard Skalba
w rozmowie
o Kostrzynie, Starówce
i muzeum **str. 10-11**

Cymper. Fotoreportaż
z Dąbrowki
Wielkopolskiej
str. 12-13

Studenci stworzyli
grę planszową
o przedwojennej
Nowej Soli **str. 14**

Nr ISSN 0137-9518

Nr indeksu 350-222



REKLAMA

0011472128

DO GŁOSÓW GOTOWI START!

Kup dowolny produkt LOTTO, weź udział w loterii **Gdy grasz, wszystko gra!**
i zgłosz na obiekty sportowe lub kulturalne w Twojej okolicy.



GŁOSUJ NA WWW.GDYGRASZ.PL



102 ×
e-karta
podarunkowa
Decathlon 400 zł



34 ×
czytnik e-booków inkBOOK
Solaris + voucher Legimi



34 ×
smartwatch
Garmin Instinct® 3 Solar



18+



Szczegóły i regulamin na www.gdygrasz.pl. Okres sprzedaży produktów promocyjnych uprawniających do udziału w loterii trwa od 26 stycznia do 26 lutego 2026 r.
Udział w loterii poprzez głosowanie na wybrany obiekt sportowy lub kulturalny możliwy jest od 26 stycznia do 28 lutego 2026 r.
Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl



TYDZIEŃ Z GAZETĄ LUBUSKĄ

JUTRO

● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK

● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK

● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA

● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskich

CZWARTEK

● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalne

PIĄTEK

● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 68 381 70 52, bok.prenumerata@polskapress.pl, prenumerata@gazetalubuska.pl

Janusz Michalczyk

KACPER SKACZE,
NARÓD W EUFORII

Miał nosa stary mistrz - Wojciech Fortuna, gdy przed zimowymi igrzyskami stwierdził, że stawia na Kacpra Tomasiaka. Forma 19-latkę wystrzeliła niczym korek od szampana i możemy się cieszyć z jego trzech medali w skokach narciarskich. To wielka zaleta sportu, który potrafi dostarczyć ludziom radości zupełnie niespodziewanie, a czasem nawet na przekór chłodnym, rozsądnym kalkulacjom. Każdy z nas mógł przez moment zaznać ogromnej satysfakcji, jakbyśmy to my sami stanęli na rozbiegu, pomknęli w dół ku przepaści i zgrabnie odzyskali kontakt z ziemią przy aplauzie widowni.

Rewelacyjne osiągnięcie Tomasiaka zapowiada prawdopodobnie serię jego sportowych sukcesów, co może oznaczać zmianę warty w doświadczonych ekipie. Czy to pora pożegnań z wybitnymi zawodnikami tej miary co Kamil Stoch, Dawid Kubacki czy Piotr Żyła? Każdy z nich zasłużył na szacunek kibiców, ale życie biegnie nieubłagane i trudno patrzeć, jak lądują daleko za młodszymi rywalami.

Jednocześnie warto zauważyć, że Tomasiak nie zdobył na igrzyskach złotego medalu, lecz dwa srebrne i brązowy, a przy jednym z nich w sukurs przyszła mu śnieżnica, po której sędziowie anulowali ostatnią serię skoków, ku zrozumiałej rozpaczy konkurentów. Cóż, najwygodniej skwitować to maksymą „szczęście sprzyja lepszym”. Najważniejsze zatem wciąż jeszcze przed 19-latką.

Wiele wskazuje też na to, że nie grozi mu załamanie kariery, co przytrafiło się młodemu Fortunie, którego przed laty, po „skoku życia” w japońskim Sapporo, zniszczyło uwielbienie rodaków. Górale najzwyczajniej w świecie go rozpiłi. Tomasiak żyje jednak w zupełnie innej epoce i w dodatku jest ministrantem, co powinno mu pomóc w zwalczaniu pokusy stania się idolem.

Tak się zresztą składa, że dla katolików rozpoczął się właśnie Wielki Post, który jak wiadomo ma polegać na rezygnacji z pospolicich rozrywek, wyrzeczeniu się rozkoszy ciała, poskromieniu łakomstwa. Wszystko to powinno sprzyjać skupieniu na życiu duchowym. Trudno zarazem nie zauważyć, że asceza mało kogo dziś pociąga. Dlatego warto przyglądać się zachowaniu Tomasiaka. Być może zainspiruje młodych do bardziej świadomego przeżywania codzienności.

”

Rząd powiedział, że na tym etapie nie będzie wchodził w Radę Pokoju, nie będzie finansował odbudowy Strefy Gazy i nie wysła żołnierzy,

Joanna Kluzik-Rostkowska (KO)

Czechowski: Zostaję pół roku, żeby wszystko wyjaśnić

Leszek Kalinowski
Zielona Góra

- To bezpodstawa, medialna nagonka na mnie. Jestem niewinny i nie unikam wyjaśnienia. I to udowodnię, bo audyt, o którym się tak głośno teraz mówi to jakiś absurd - mówił na czwartkowej konferencji prasowej dyrektor Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze Robert Czechowski, który złożył rezygnację z pełnionej funkcji.

Czechowski powiedział, że ma 66 lat, 30 lat pełnił rolę dyrektora w różnych teatrach, najdłużej w Zielonej Górze, bo to jego 19 rok kierowania placówką.

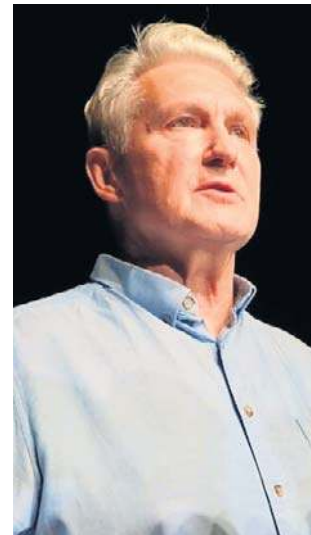
- Czy jest sens w tym wieku kopać się z koniem? Tym panom, którzy wywołali tę nagonkę na mnie, niczego nie udowodnię. Ale zostaję tu jeszcze pół roku, żeby wszystko wyjaśnić w instytucjach, do których dotarły różne wnioski. I dokończyć sprawy, by przekazać następcy teatr bez zaciągniętych zobowiązań. By nie musiał on ich realizować w kolejnych latach, jak to było po moim przyjeździe tutaj - mówił. I podkreślił, że deprecjonowanie jego nazwiska, ale i atak na teatr, jest bez precedensu. - Będę dochodził swoich praw we wszystkich możliwych instytucjach.

Podkreślił, że decyzja o rezygnacji z funkcji dyrektora była przemyślana i podjęta w rozumnym gronie.

- Moja żona powiedziała: Świat jest piękny, a życie nie kończy się na pracy. I ma rację. Ten mój statek wpłynął już do portu z napisem: Emerytura. Zarząd województwa zgodził się, by to był mój ostatni sezon - wyjaśniał. - Ale chętnie tu wrócę np. w roli reżysera. Bo przecież zostawię tu kawał swojego życia.

Robert Czechowski odniósł się do zarzutów, jakie padają pod jego adresem w mediach społecznościowych i nie tylko. Jego zdaniem artykuły te zawierają mnóstwo kłamstw i przeinaczeń. Sprawa jest w Regionalnej Izbie Obrachunkowej. Prowadzone tam jest postępowanie wyjaśniające u rzecznika dyscypliny finansów publicznych.

- Prokuratura się tym nie zajmuje. Na szczęście w Polsce obowiązują przepisy mówiące o tym, że dopóki nie ma prawomocnego wyroku, nie ma winnego. Tymczasem pisze się artykuły „Czechowski pójdzie siedzieć”. Nie zgadzam się na takie traktowanie mojej osoby - mówił na scenie, mając za plecami przedstawicieli wszystkich działów teatru, którzy przyszli go wesprzeć. - Ja mam czyste sumienie. I chcę tylko dodać, że jeśli rzecznik stwierdzi, że dyscyplina finansowa została naruszona, sprawę kieruję do komisji. W ciągu dwóch tygodni można się odwołać. Następnie jest Komisja Główna w Warszawie.



FOT. JACEK KATOS

Tutaj jest 30 dni na odwołanie. Potem Sąd Administracyjny pierwszej instancji, Sąd Administracyjny drugiej instancji i dopiero wyrok. Jak więc dziś można mówić, że jestem winny? Ja wiem, że jestem niewinny, a ten audyt, na który się powołują ci, którzy wywołali na mnie nagonkę, to jeden wielki bełkot, naszpikowany złymi intencjami. Można go przeczytać w internecie i wyrobić sobie zdanie.

Dyrektor przypominał, że zarzut w stosunku do niego jest taki, iż pojechał na prestiżowy, teatralny festiwal do Edynburga bez zgody zarządu województwa.

- Jak mogliśmy pojechać bez zgody, skoro od zarządu województwa dostaliśmy na wyjazd

200 tys. zł - mówił. - Zarzuca się mi, że podrabiałem jakieś podpisy, pieczętki. To są przestępstwa. Nie mogę więc milczeć. Dlatego będę dochodził swoich praw.

Inny zarzut mówi o pojawianiu się w dokumentach finansowych tych samych nazwisk.

- Tak, pojawiały się dwa razy nazwiska Czechowska. Jedna to pani Marta, redaktorka. Zbieżność nazwisk jest przypadkowa. Druga to moja córka. 17-latką, która jak inni młodzi ludzie, dorabiała sobie w szatni odbierając płaszcze. Za najniższą stawkę godzinową. Nie ma wielu chętnych do takiej wieczornej pracy - dodaje. - To jest nepotyzm?

Jest też zarzut przywłaszczenia ponad 100 tys. zł.

- To są pieniądze za wykonywaną pracę. Od 18 lat jestem kontrolowany i nigdy sposób rozliczania nie był kwestionowany. Aż do teraz. Chodzi o próby wznowieniowe, czyli przygotowujemy spektakl, gramy go i po latach wracamy do niego, tak jak teraz z „Siostrzycami”. Zgodnie z odpowiednią uchwałą, wymagana jest zgoda zarządu województwa na reżyserię, ale nie na próby wznowieniowe - wyjaśniał.

Odnosił się też do sprawy zwolnienia aktora. Jak podkreślił, powodem był wpis na grupie teatralnej, jakoby dyrektor Czechowski stał za tragiczną śmiercią młodego kolegi.

Rozbierali na części kradzione samochody

Jakub Pikulik

jpikulik@gazetalubuska.pl

Dodge RAM i audi R8 - takie auta znaleźli policjanci w jednej z dziupli na terenie powiatu żarskiego. Skradzione w Niemczech pojazdy były już rozebrane na części.

- Kryminalni zabezpieczyli ponad sto części podzespołów pochodzących z pojazdów. Przeprowadzona identyfikacja części wykazała, że zabezpieczone przez policjantów podzespoły i akcesoria pochodzą z co najmniej dwóch utraconych w wy-



FOT. LUBUSKA POLICJA

niku przestępstwa pojazdów. - relacjonuje młodszy aspirant Żaneta Kumoś z KPP w Żarach.

Akcja policji miała miejsce 12 lutego. Zatrzymano 44-letniego mężczyznę przebywają-

cego na terenie posesji. Zebrany przez śledczych materiał dowodowy pozwolił na przedstawienie mu zarzutu paserstwa umyślnego. Sytuacja podejrzanego jest szczególnie poważna, ponieważ dopuścił się on przestępstwa w warunkach recydywy, co pozwala sądowi na wymierzenie surowszej kary, nawet do 7,5 lat pozbawienia wolności.

Obecnie trwają intensywne działania zmierzające do ustalenia i zatrzymania bezpośrednich sprawców kradzieży oraz innych osób zamieszanych w ten proceder.

Kulturalny ORLEN - rusza 2. edycja.

100 tysięcy na inicjatywy dla dzieci i młodzieży

Trwa nabór do drugiej edycji programu Kulturalny ORLEN, który skierowany jest do lokalnych instytucji kultury w całej Polsce, prowadzących zajęcia dla dzieci i młodzieży. Można uzyskać aż 100 tys. złotych dofinansowania na projekt. Budżet całego programu wyniesie 12 mln złotych.

Pierwsza edycja przerosła oczekiwania. Skąd taki gład sztuki?

Kiedy ogłaszano pierwszą edycję programu Kulturalny ORLEN, nikt nie przypuszczał, że odzew z całego kraju będzie aż tak duży. Do organizatorów wpłynęło blisko 2800 wniosków i było to jasnym sygnałem, jak wielką potrzebą tworzenia lokalnych inicjatyw kulturalnych, drzemie w polskim społeczeństwie. Wysoki poziom merytoryczny zgłaszanych projektów sprawił, że zamiast planowanych 100, do udziału w programie zakwalifikowano finalnie 185 podmiotów. Wiele z nagrodzonych projektów realizowanych jest w miejscowościach, w których kultura dotąd była dostępna w bardzo ograniczonym zakresie. Dzięki temu wsparciu, dzieci i młodzież mogły pierwszy raz wziąć udział w profesjonalnych warsztatach artystycznych, obejrzeć spektakle teatralne czy uczestniczyć w zajęciach filmowych. Instytucje, które wcześniej borykały się z brakiem funduszy na rozwój swojej oferty, mogły wreszcie zaprosić do współpracy doświadczonych twórców, instruktorów oraz edukatorów.

Nabór do drugiej edycji programu

Kulturalny ORLEN skupia się na inicjatywach artystycznych, edukacyjnych oraz organizacji koncertów, wystaw czy festiwali, które budują kontakt z kulturą od najmłodszych lat. Poprzez upowszechnianie dostępu do edukacji kulturalnej, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, Kulturalny ORLEN dąży do wyrównywania szans i eliminowania barier społecznych. To inwestycja w rozwój młodych ludzi, która daje im przestrzeń do budowania pewności siebie oraz trwałych relacji społecznych. W naborze do drugiej edycji programu mogą uczestniczyć lokalne instytucje kultury, a także fundacje czy stowarzyszenia – w tym także te najmniejsze, działające lokalnie. Lista uprawnionych do składa-



nia wniosków obejmuje ponadto stowarzyszenia zwykłe, koła gospodyń wiejskich, spółdzielnie socjalne, pałace młodzieży, młodzieżowe domy kultury, ogniska pracy pozaszkolnej, ogrody jordanowskie oraz ogniska artystyczne. Ważnym warunkiem jest to, aby organizacja pracowała z dziećmi i młodzieżą w wieku szkolnym. Ostateczny termin przyjmowania wniosków do drugiej edycji programu to 6 marca 2026 roku. Po zakończeniu naboru rozpocznie się proces weryfikacji zgłoszeń, a lista podmiotów, które otrzymają granty, zostanie ogłoszona do 30 czerwca 2026 roku. Same projekty będą mogły wystartować od 1 września 2026 roku. Wszelkie szczegóły, w tym formularz zgłoszeniowy można znaleźć na stronie internetowej www.kulturalnyorlen.pl.

Szeroki wachlarz sposobów wydatkowania grantu

Środki otrzymane w programie można przeznaczyć na organizację różnego rodzaju warsztatów, takich jak zajęcia plastyczne, teatralne, fotograficzne, ceramiczne, literackie czy filmowe. Grant pozwala także sfinansować wynagrodzenia instruktorów, animatorów oraz szkoleniowców, a także na opłacenie kosztów szkoleniowych dla kadry biorącej udział w projekcie. Możliwe jest również sfinansowanie wy-

namu nieruchomości potrzebnych do realizacji działań, opłacenie obsługi technicznej czy produkcji samych wydarzeń. Bardzo istotnym aspektem programu jest nacisk na dostępność i włączanie wszystkich grup społecznych. Środki z grantu mogą zostać wykorzystane na zakup materiałów i usług, które zwiększą dostępność projektu dla osób z niepełnosprawnościami. Mowa tutaj o przygotowaniu audiodeskrypcji, tłumaczeniach na język migowy czy zakupie specjalistycznych pomocy sensorycznych.

Dodatkowo finansowanie może objąć koszty związane z transportem uczestników, który bywa barierą w mniejszych miejscowościach, a także działania promocyjne i komunikacyjne, dzięki którym informacja o projekcie dotrze do szerokiego grona odbiorców. Każdy projekt może uzyskać wsparcie do 100 tysięcy złotych. Taka kwota daje realną szansę na zakup niezbędnego wyposażenia, narzędzi czy aparatury potrzebnej do pracy z młodzieżą.

Realizowane projekty, które inspirują

Przykłady z trwającej jeszcze pierwszej edycji programu najlepiej pokazują, jak realnie zmienia on lokalną rzeczywistość. W Bezmiechowej Dolnej, małej bieszczadzkiej wsi, Biblioteka Publiczna w Lesku mogła zaoferować dzieciom uczestnictwo w warsztatach teatralnych i spotkanie się z aktorem Arturem Barcisiem. Wcześniej takie inicjatywy były poza finansowym zasięgiem placówki. - Dzięki programowi „Kulturalny ORLEN” mogliśmy za-

proponować coś nowego: warsztaty plastyczne i teatralne skierowane do dzieci z terenów wiejskich - wyjaśniła dyrektorka placówki Maria Petka-Fundanicz. Podobny efekt osiągnięto w Wejherowie, gdzie Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej zorganizowało warsztaty teatralne dla najmłodszych. Instytucja otworzyła się na nowych odbiorców i odeszła od wizerunku miejsca skierowanego wyłącznie do specjalistów. - Zależało nam na wielopokoleniowym otwarciu się na mieszkańców i zaproszeniu do współpracy dzieci, które wnoszą ogrom pozytywnej energii - opisuje Izabela Bukowska, kustosz muzeum i koordynatorka projektu. Z kolei w Kluczborku projekt CERAMOMIASTO pozwolił najmłodszym stworzyć ceramiczne elementy, które ozdobiły miejską przestrzeń, budując w nich poczucie, że ich działania mają realne znaczenie. - To miejsce, które nie tylko rozwija zdolności manualne i wyobraźnię, ale przede wszystkim buduje poczucie, że ich działania mają realne znaczenie - podkreślił Jarosław Paluch, dyrektor Centrum Kultury w Kluczborku, gdzie odbywają się warsztaty. Program został objęty honorowymi patronatami Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Ministra Edukacji. Organizatorami są ORLEN oraz Fundacja ORLEN im. Ignacego Łukasiewicza, a wszelkie szczegóły oraz formularz zgłoszeniowy można znaleźć na stronie internetowej www.kulturalnyorlen.pl.



PO POWODZI DROGA W GMINIE BYTOM ODRZAŃSKI WCIĄŻ CZEKA NA REMONT

Realne zagrożenie bezpieczeństwa

Mateusz Pojnar
mpojnar@gazetalubuska.pl

Powódź 2024 uszkodziła odcinek drogi wojewódzkiej Bytom Odrzański - Drogo-mil. Do dziś w tym miejscu stoi tylko prowizoryczne zabezpieczenie, ale i tak zdarzają się wypadki.

Uszkodzenia objęły fragment drogi z przepustem wodnym. Radny powiatu i członek jego zarządu Adrian Hołobowicz, mieszkaniec Bytomia, pierwsze pismo do Zarządu Dróg Wojewódzkich w tej sprawie napisał tuż po powodzi.

- Od tamtej pory obiekt nie został kompleksowo wyremontowany, a zastosowane rozwiązania mają charakter tylko tymczasowy - mówi Hołobowicz „Gazecie Lubuskiej”. - ZDW mówi, że miejsce jest monitorowane i zabezpieczone, ale kolejne zdarzenia drogowe pokazują, że to nie wystarczy.

Mieszkańcy gminy zwracają uwagę, że jest tam niebezpiecznie. Jeden z przykładów: grudzień ub. roku i kierowca, który



-O Bezpieczeństwo nie powinno zależeć od „wolnych środków”, tylko być traktowane jako absolutny priorytet - mówi Adrian Hołobowicz

wypadł z drogi i dachował. Miał dużo szczęścia, bo wyszedł z tego cało.

Skontaktował się z nami też inny mieszkaniec Bytomia. Zwraca uwagę, że remont jest niezbędny.

- Powinni po powodzi usunąć skutki uszkodzenia, a nie czekać nie wiadomo na co - wkurza się.

Hołobowicz wysłał kolejne pisma, ZDW mu odpowiadało.

- Dokumentacja projektowa przebudowy tego odcinka jest gotowa już od 2024 r. - zwraca uwagę radny. - To pokazuje, że skala problemu jest znana i dobrze rozpoznana. Niestety, jednocześnie ZDW informuje, że zadanie nie zostało ujęte w budżecie

na 2026, a realizacja będzie możliwa jedynie wtedy, gdy pojawią się wolne środki.

Radny zaznacza, że barierki, które stoją na drodze, są regularnie taranowane przez auta. Mimo że stało tam dodatkowe oznakowanie z elementami fluorescencyjnymi, o co zabiegali mieszkańcy.

- Ostatni wypadek tylko potwierdza, że mamy do czynienia z realnym zagrożeniem bezpieczeństwa, a nie tylko z problemem estetycznym czy technicznym - dodaje radny. - Po powodzi samorządy mogły liczyć na rządowe wsparcie sięgające nawet stu procent wartości inwestycji. W tym wypadku województwo najwyraźniej takich środków nie dostało.

ZDW złożył w Aplikacji Odbudowa 2024 zbiorcze zestawienie potrzeb na drogach wojewódzkich, które zostały uszkodzone. Wśród nich wymienił tę w gm. Bytom Odrzański.

- Te zadania mogły ubiegać się o dofinansowanie z rezerwy celowej na usuwanie skutków klęsk żywiołowych - tłumaczy dyrektor ZDW Marcin Ogorzałek.

Instytucja w czerwcu 2025 starała się też o dofinansowanie z Funduszu Solidarności Unii Europejskiej. Ale nie dostała kasy. Dyrektor potwierdza: jest gotowa dokumentacja inwestycji od Bytomia do granicy województwa. Obejmuje m.in. przebudowę drogi, skrzyżowań, zjazdów, budowę

i przebudowę chodników, zbudowanie zatok autobusowych, przepustów, w tym rozbiórkę i zrobienie na nowo uszkodzonego. Tyle że na ten moment nie ma pieniędzy na realizację całości inwestycji.

- Dlatego trwają prace nad ustaleniem niezbędnego do wykonania zakresu robót związanego z naprawą obszaru przepustu - dodaje. - Po ich zakończeniu i przygotowaniu kosztorysu podejmiemy starania wprowadzenia zadania do realizacji w tym roku.

Przypomina, że obszar jest zabezpieczony.

- Lewy pas ruchu jest wygrodzony, wprowadziliśmy stosowne oznakowanie, zakaz wyprzedzania i ograniczenie prędkości do 60 km/h i 40 km/h - wylicza Ogorzałek. - Prowadzony jest stały monitoring i w wypadku stwierdzenia zagrożenia bezpieczeństwa będą podejmowane niezbędne działania.

ZDW stoi na stanowisku, że „ze względu na planowaną przebudowę przepustu doraźne prace naprawcze są nieuzasadnione ekonomicznie”.

REKLAMA

0011468153

Pomóż nam pomagać innym przekaż swoje

Ośrodek na Zaciszu

Stowarzyszenie Ośrodek Integracji Społecznej
www.ois.org.pl
KRS 0000125956

1,5%

Ekipy drogowców doraźnie łatają ubytki na gorzowskich ulicach

Magdalena Marszałek
mmarszalek@gazetalubuska.pl

Tegoroczna zima nie bierze jeńców i wyjątkowo mocno daje się we znaki miejskiej infrastrukturze, dlatego w mieście trwają intensywne naprawy.

- Wystarczy niewielka szczelina, aby woda zrobiła swoje. Zamarzając zwiększa objętość, osłabia strukturę i prowadzi do powstawania kolejnych uszkodzeń - wyjaśnia Zdzisław Plis, dyrektor Wydziału Dróg w gorzowskim magistracie.

Choć zima nie odpuszcza, miejskie służby drogowe działają. Każdego dnia dwie ekipy ruszają w teren.

- Regularnie monitorujemy stan nawierzchni, jednak przy kilkuset kilometrach dróg nie jesteśmy w stanie dotrzeć wszędzie natychmiast. Dlatego ogromne znaczenie mają sygnały od mieszkańców i samych kierowców, którzy na co dzień najlepiej widzą, gdzie sytuacja jest najbardziej problematyczna. Priorytetowo traktowane są miejsca, w których doszło do szkód komunikacyjnych, a także odcinki o dużym natężeniu ruchu - podkreśla.



Zima nie oszczędza gorzowskich dróg, ale już trwa wielkie łatanie. Codziennie w teren ruszają dwie ekipy

Obecnie naprawy prowadzone są głównie w trybie doraźnym, co o tej porze roku jest standardową praktyką. Zimą najczęściej stosuje się tak zwane łatanie na zimno, które pozwala szybko zabezpieczyć najbardziej niebezpieczne ubytki i ograniczyć dalszą degradację nawierzchni.

- Metoda ta polega na wypełnianiu dziur specjalną mieszanką, którą można układać nawet przy niskich temperaturach. Choć takie rozwiązanie nie ma charakteru docelowego, skutecznie poprawia

bezpieczeństwo i komfort jazdy - dodaje Zdzisław Plis.

Prace prowadzone są praktycznie w całym mieście. Obecnie ekipy remontowe działają między innymi na ulicach: Mościężna, Mironicka, Zielona, Śląska, Podmiejska Boczna, Kościuski i Marcinkowskiego. W najbliższym czasie ubytki usuwane będą również na ulicach: Niepodległości, Małorolnych, Majora Hubala, Szarych Szeregów, Okulickiego, Asnyka, Poznańska, Wawrzyniaka, Fredry i Kasprzaka.



Protestują m.in.: Roman Kipran, Rafał Raczkowski, Katarzyna Krawczyk, Justyna Kramczyńska, Nikola Trzosek

FOT. JAROSŁAW MIŁKOWSKI

Napis „I love Gorzów” stanie na bulwarze

Jarosław Miłkowski
jmiłkowski@gazetalubuska.pl

Instalacja ma wyglądać podobnie jak w innych miastach i stanąć w sąsiedztwie mapy świata na bulwarze wschodnim.

Podobne napisy są w wielu miastach na całym świecie. I wygląda na to, że Gorzów doczeka się w końcu własnego. Mowa o napisie „I love Gorzów”, o którym mówi się w mieście od lat.

W 2020 na pomysł zrobienia takiego napisu wpadła mieszkanka. Monika Drubkowska. Zgłosiła go do budżetu obywatelskiego. Był to jeden ze zwycięskich projektów. Napis miał stanąć na błoniach nadwarciańskich.

Do realizacji jednak nigdy jednak nie doszło. A to były problemy z jej wyceną, a to nie udało się znaleźć chętnego do zrobienia napisu. A gdy w końcu znalazł się wykonawca, to nawet nie rozpoczął prac i zrezygnował. Miasto ostatecznie

zrezygnowało z instalacji. I jak dotąd jest to jedyny przypadek, gdy gorzowscy urzędnicy nie zrealizowali pomysłu, który był zwyciężcą głosowania w budżecie obywatelskim.

Teraz okazuje się, że napis „I love Gorzów” jednak powstanie. Ma stanąć na bulwarze wschodnim (czyli tym z Januszem Gorzowskim). Tak wynika z projektu modernizacji bulwaru, do którego dotarła „Gazeta Lubuska”. Napis, nie będzie miał poza treścią - nic wspólnego z pierwotnym pomysłem.

- Ma to być konstrukcja podobna do tych, jakie są w innych miastach - mówi nam architekt miejska Marta Bejnar-Bejnarowicz.

Napis ma stanąć w sąsiedztwie mapy świata w nawierzchni bulwaru nieopodal czerwonej willi Herzoga. Będzie ustawiony tak, by podczas robienia zdjęć miał w tle charakterystyczne punkty Gorzowa: Wartę, most Staromiejski, Spichlerz, dominantę, a także Janusza Gorzowskiego.

To ostatnia okazja by powalczyć o swoją okolicę

Jarosław Miłkowski
Gorzów

Mieszkańcy i przedsiębiorcy z Manhattanu boją się, że jednym z ostatnich zielonych terenów na osiedlu staną bloki. Do urzędu miasta wystosowali już kilkadziesiąt pism.

Dziś w Gorzowie kończą się konsultacje społeczne dotyczące planu ogólnego. To dokument, który ma określać, w jakich częściach miasta będą mogły powstać parki, drogi czy osiedla mieszkaniowe. Konsultacje trwają od miesiąca. W ich trakcie mieszkańcy oraz przedsiębiorcy z części gorzowskiego Manhattanu dowiedzieli się, jak może zmienić się ich okolica, a konkretnie teren pomiędzy ul. Bora-Komorowskiego a ul. Popławskiego. Bliżej skrzyżowania z ul. Szarych Szeregów jest tu sporo niezagospodarowanej zieleni, bliżej ul. Fieldorfa-Nila są jeszcze ogródki działkowe. W środkowej części jest natomiast parking, myjnia i „rynek”, jak mówi się o miejscu, gdzie w pawilonach jest ponad dwadzieścia punktów handlowo-usługowych. To właśnie w tym miejscu - pośród kiosków, piekarni, masarni, warzywniaka czy punktu naprawy rowerów - spotykamy się z mieszkańcami i przedsiębiorcami.

- Protestujemy przeciwko temu, że chcą tu wybudować bloki - mówi nam Rafał Raczkowski, przedsiębiorca. Do nagłośnienia tematu zachęcił go m.in. protest mieszkańców ul. Wróblewskiego 19, którzy sprzeciwiają się budowie bloku przed swoimi oknami (temat poruszaliśmy na łamach „Gazety Lubuskiej” już dwukrotnie).

O pomysły na bloki mieszkańcy i przedsiębiorcy dowiedzieli się z projektu planu ogólnego. W studium przestrzennym, owszem, jest mowa, że cały teren między Bora-Komorowskiego a Walczaka to teren

pod budownictwo mieszkaniowe. To jednak zapis bez szczegółów, bo w całej tej części Manhattanu jest jeszcze przedszkole czy Biedronka. W projekcie planu ogólnego są już jednak konkretne zapisy. Choćby ten, że tam, gdzie dziś jest „rynek” czy myjnia mogą stanąć bloki do 21 metrów wysokości.

- To ostatnie miejsce na największym osiedlu w Gorzowie, które zostanie zabudowane - mówi pan Rafał.

- Wszędzie budują się markety, molochy handlowe. A tu zostali mali przedsiębiorcy. Tu jest warzywniak, piekarnia. Tego chcą ludzie pozbawić - dodaje Anna Szostak.

- Tu przychodzą i przyjeżdżają nie tylko mieszkańcy okolicy, ale też spoza miasta, z Chwałęcic, Zdroiska - wylicza Justyna Kramczyńska, przedsiębiorca.

- Przez lata zabrali nam tu jedno boisko, drugie, teren zielony. A teraz i to chcą nam zabrać - dodaje Katarzyna Krawczyk. W jednym z pobliskich bloków mieszka od 1982 r.

- Spółdzielnia poparła mieszkańców Wróblewskiego, bo tam ktoś chce budować blok na prywatnym terenie. A tutaj? Tutaj jest ich ziemia, więc my jej nie interesujemy - mówi ponownie Rafał Raczkowski.

Chęć budowy bloków w tej części Manhattanu potwierdza nam Marcin Michalski, wiceprezes SMGórczyn.

- Tak, to prawda. Taki zamiar mamy od lat - mówi. Spółdzielnia uzgadnia już nawet z Eneą, co zrobić z liniami wysokiego napięcia, które są ponad całym terenem, gdzie miałyby stanąć budynki.

Na razie mieszkańcy i przedsiębiorcy z Manhattanu - jak mówią: w licznie kilkuset - zgłoszyli do niego swoje uwagi.

- Liczymy, że władze miasta będą liczyły się z mieszkańcami, swoimi wyborcami - mówi R. Raczkowski.

Przyjęcie planu ogólnego planowane jest na kwiecień.

REKLAMA

0011480870

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE

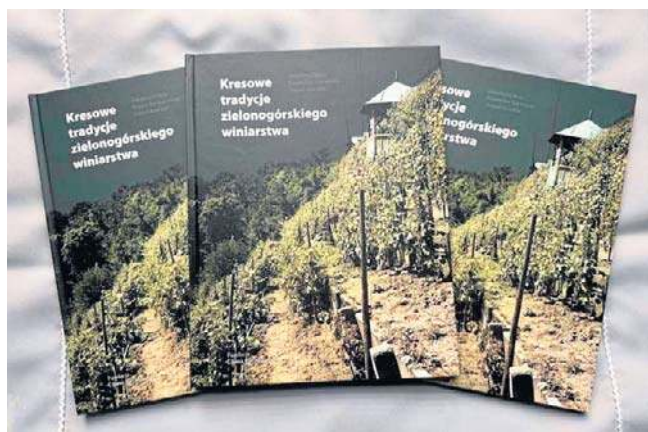
AMBASADOR
Szymon Marciniak

Granice?

Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.

Panoramyczne drzwi przesuwne **MB-Skyline Type S**

O kresowym winiarstwie



FOT. PRZEMYSŁAW KARWOWSKI

Promocja książki połączona będzie z dyskusją z autorami

Jarosław Wnorowski
ZIELONA GÓRA

Dziś o godz. 17, w Muzeum Ziemi Lubuskiej odbędzie się promocja albumu „Kresowe tradycje zielonogórskiego winiarstwa”, Arkadiusza Cincio, Przemysław Karwowskiego i Tomasza Kowalskiego.

Wydawnictwo nawiązuje i jest kontynuacją tematyki poruszanej na wystawie pt. „Zaleszczyki – stolica kresowego winiarstwa”, którą w muzeum można było oglądać na przełomie 2024 i 2025 roku. Materiały zebrane wtedy przez muzealników i zaprezentowane w formie plansz graficznych, zostały teraz uzu-

pełnione i poszerzone o nowe materiały. Pierwsza część albumu poświęcona jest historii winiarstwa na Podolu i Pokuciu, ze szczególnym uwzględnieniem roli, jaką odgrywały Zaleszczyki. Ten położony na Podolu, nad Dniestrem kurort, posiadał wyjątkowo ciepły, czarnomorski klimat, sprzyjający turystyce oraz uprawie ciepłolubnych warzyw i owoców. W publikacji przedstawiono także informacje o losach rodzin – posiadaczy winnic na Kresach Wschodnich, gdyż w drugiej jej części znajdziemy sylwetki biograficzne osób związanych z zielonogórskim winiarstwem, których korzenie sięgają Kresów Wschodnich. Wstęp wolny.

WYDARZY SIĘ

REGION

Co nas czeka już niedługo

21.02 – Spektakl „Skrzydło ONE”, MCK, Gorzów,
21.02 – Koncert melodii francuskich „Yaga Kowalik”, CAK Zamek, Krosno Odrzańskie,
24-25.02 – Spotkanie z Jerzym Bralczykiem oraz dyktando ortograficzne, Biblioteka Norwida, Zielona Góra,
28.02 – Koncert z cyklu „Mocne Brzmienia” – Luxtorpeda / Blackend / Rebel Nation, MCK Gorzów,
28.02 – Spektakl „Pierwszy raz”, Gubiński Dom Kultury,
2.03 – Koncert studentów Instytutu Muzyki UZ „Jazz ponad granicami” Piekarnia Cichej Kobiety, Zielona Góra,
6.03 – Wernisaż wystawy „Zakłute w papierze”, Muzeum Lubuskie, Gorzów,
6.03 – Wernisaż wystawy „Otwarte oczy schną”, Mo-sart, Gorzów,
6.03 – Otwarcie wystawy prac Daniela Mikulskiego „Plany równoległe”, BWA, Zielona Góra,
8.03 – Koncert Darii ze Śląska, Kostrzyńskie Centrum Kultury.
JERRY

ZIELONA GÓRA



FOT. KADR Z FILMU

Kino „Newa” podczas weekendu oraz w nadchodzącym tygodniu pokazuje nagrodzony „Złotą Palmą” irański film „To był zwykły przypadek” Jafara Panahiego. Po kolizji, podczas wizyty w warsztacie, okazuje się, że szukający pomocy kierowca to komisarz policji, który kiedyś torturował mecha-nika. Pojawia się szansa na zemstę, ale nie ma pewności, czy to naprawdę on. JERRY

Cały ten Gershwin i magia wiolonczel w filharmoniach

Jarosław Wnorowski
REGION

Dziś o godz. 19, w Zielonej Górze królować będzie muzyka Georga Gershwina, zaś w Gorzowie kameralnie zagra tkwintet wiolonczelowy.

Długo wyczekiwana pozycja w repertuarze zielonogórskich filharmoników to oczywiście słynna „Błękitna rapsodia”. Partie solową na fortepianie wykona Dominika Peszko. To absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie i wykładowca tej uczelni. Jest laureatką licznych nagród ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów pianistycznych. Całość otwiera jednak wyjątkowo charakterystyczne glissando wykonywane na klawecie. „Błękitna...” była utworem napisanym na zamówienie znanego muzyka jazzowego Paula Whitmana, który razem ze swoją orkiestrą po raz pierwszy wykonał go 12 lutego 1924. Warta zauważenia jest także mocno rozbudowana sekcja perkusji oraz wprowadzona sekcja saksofonów, która swoimi dźwiękami wyjątkowo pięknie ubogaca całość rapsodii. George Gershwin urodził się jako Jacob Gershowitz w rodzinie żydowskich emigrantów z Rosji 26 września 1898 roku w Nowym Yorku. Od wczesnych lat pasjonował się muzyką rozrywkową, w szczególności piosenkami I. Wraz z bratem – Ira, byli prawdziwą wytwornią przebojów, które wykorzystywane



FOT. JAROSŁAW WNOROWSKI

Błękitną Rapsodię George’a Gershwina, otwiera charakterystyczne solo klawecie

były m.in. w musicalach czy w operze „Porgy and Bess”. Podczas koncertu nie zabraknie m.in. „Embraceable you” (Przytulając cię) z musicalu „Szalona dziewczyna” z 1930 roku, który kiedyś jako pierwsza wykonała go słynna Ginger Rogers oraz jeszcze bardziej znanego „Summertime”. W części utworów swoje talenty wokalne zaprezentują członkowie Chóru Filharmonii Zielonogórskiej, a całością zadyryguje Rafał Jacek Delekt. To absolwent krakowskiej Akademii Muzycznej w klasie dyrygentury. Zadebiutował jako dyrygent w Operze Krakowskiej w 1980 roku. Specjalizuje się w muzyce wokalo-instrumentalnej i wszelkich formach teatru muzycznego. Prowadzi również ożywioną dzia-

łalność koncertową z orkiestrami w Polsce i za granicą. Dyrygował m.in. „Sinfonią Varsovią” również jako współpracownik Yehudi Menuhina. W sali kameralnej Filharmonii Gorzowskiej wysłuchamy natomiast dzieł skomponowanych na wiolonczelę. Na tym pięknie brzmiącym instrumencie, solo oraz w kwintecie zagrają: Piotr Więclaw, Katarzyna Winkiewicz-Więclaw, Agnieszka Lasek, Mikołaj Cieślak oraz Maria Stawska. Zabrzmia słynne kompozycje m.in. II. Suita d-moll na wiolonczelę solo – Bacha, mistyczna modlitwa judaistyczna za zmarłych „Kol Nidrei” – Brucha, skoczne Allegro appassionato – Saint-Saënsa, „Wokaliza” – Rachmaninowa czy „Chanson triste” – Czajkowskiego. Wstępny płatne.

WYBIERZ SIĘ

ZIELONA GÓRA

Od deski do deski

Dziś o godz. 19 w Biurze Wystaw Artystycznych zostanie otwarta wystawa obrazów Jana Mioduszeńskiego, które mają skłaniać do refleksji nad konstrukcją i dekonstrukcją przedmiotu. Ich autor to absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi oraz w Warszawie. Zajmuje się malarstwem, instalacją i tzw. performans. Artysta szczególnie zainteresował się kreowaniem „jarmarcznego teatru”, a z elementów mebli i drewna buduje różne figury. Stąd też nazwa ekspozycji „Od deski do deski”. Twórca ukazuje szerokie spektrum tematów: od portretu, przez dialog z historią sztuki, po odniesienia do współczesnej rzeczywistości politycznej. Prezentowane w Zielonej Górze dzieła Mioduszeńskiego powstawały w latach 2014-2025 i obrazują zainteresowania artysty z tego okresu. Należą do nich np. „Kaprysy”, czyli cykl obrazów przedstawiających hybrydy postaci ludzkich, z meblami i elementami architektury. Wystawa będzie dostępna do 15 marca br. Wstęp wolny. JERRY

KROSNO ODRZAŃSKIE

Życie na nowym



FOT. ZBIORY CAK ZAMEK

Dziś o 17, w galerii na kruzgankach Centrum Artystyczno-Kulturalnego Zamek, nastąpi otwarcie wystawy „Tu będzie nasz dom”. Pokazuje ona, kim byli pierwsi mieszkańcy Krosna Odrzańskiego, skąd przyjechali do piastowskiego miasta nad Odrą i jak wyglądało ich życie na wtedy obcej dla nich ziemi. Ekspozycja przedstawia historie pierwszych polskich osadników zapisane w listach, dokumentach, wspomnieniach, kadrach zatrzymanych w fotografiach czy obrazach oraz autentyczne pamiątki z przeszłości. Wstęp wolny. JERRY

ZIELONA GÓRA

Połam pióro!

We wtorek o godz. 18 w Bibliotece Norwida rozpocznie się spotkanie autorskie z prof. Jerzym Bralczykiem połączone z promocją książki „Cukier na języku. Rozmowy o cukrzycy”. Bohater wieczoru to wybitny językoznawca, profesor nauk humanistycznych oraz specjalista w zakresie języka mediów. Od wielu lat wykłada w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego. Prowadzi działalność popularyzatorską poprawności języka polskiego. Jest autorem licznych programów radiowych i telewizyjnych, a także wielu publikacji. Dzień później, bo w środę (25.02) o godz. 17, odbędzie się VI Lubuskie Dyktando Ortograficzne „Połam pióro!” pod patronatem mistrza polskiej ortografii. Po wydarzeniu, ok. godz. 18, odbędzie się wieczór autorski pt. „Poeta jako krytyk (i inne szkice środowiskowe)”, prowadzony przez Karola Maliszewskiego – profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, poetę, prozaika, krytyka literackiego i literaturoznawcę. Wstęp wolny. JERRY



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

*poleca
Mariusz Grabowski*

Na muzycznych manowcach, czyli nie tylko Bach i Vivaldi

Już sam tytuł tomu – „Największe kurioza w historii muzyki” – korci, aby doń zajrzeć. Dziwactw w świecie nie brakuje, ale te z dziedziny dźwięków wydają się wyjątkowo osobliwe. Autorem dzieła jest Anglik Edward Brooke-Hitching, który z opisywania ludzkich odlotów uczynił życiową pasję. Był już „Atlas lądów niebytych”, „Biblioteka szaleńca” i „Atlas tamtych światów. Teraz jest „Orkiestra szaleńca”.

Kłute gwoździem koty
Muzyczne kurioza kojarzą się np. z największym fortepiannem koncertowym w historii. Zbudował go nasz rodak Daniel Czapiewski – instrument ma długość 6 metrów, 2,5 metra szerokości i 2 wysokości. Zaopatrzony jest w 156 klawiszy, dwa razy więcej niż normalny. Grać na nim trudno, bo trzeba ganiać wokół, ale wygląda imponująco. Inne skojarzenie to kompozycja, która do odtworzenia wymaga uży-

cia czterech śmigłowców i kwartetu smyczkowego. „Helikopter-Streichquartett” to eksperymentalne dzieło Karlheinz Stockhausena.

Jest jeszcze tzw. katzenorgel barokowego geniusza Athaniana Kirchera. Koty umieszczone w małych kłateczkach kłute były gwoździami przez skomplikowany system zapadek i przekładni uruchamianych przez artystę. Piszczą na różne głosy, z czego można było od biedry stworzyć linię melodyczną (odmianą kocich organów była świńska fisharmonia – zamiast piszczących kotów kwiczały w nim świni).

Opera na papierze toaletowym
Lecz to wszystko betka w porównaniu z muzycznymi wątkami fekalnymi. Spiżowy Joseph Haydn pozwolił sobie w „Symfonii nr 93” na dość „przaśny” (określenie tłumacza Janusza Szczepańskiego) żarcik: w drugiej części muzyka zwalnia, zaś fagot wydaje nagle dźwięki do złudzenia przypominający pierdzenie. Przy okazji warto też wspomnieć o innym tego typu dziele – „Trzech włosach starego mędrca”, operze spisanej węglem leczniczym na papierze toaletowym. Jej twórcą był czeski kompozytor Rudolf Karel, a na jego usprawiedliwie-

nie trzeba dodać, że operę skomponował obozie koncentracyjnym.



Edward Brooke-Hitching, „Orkiestra szaleńca. Największe kurioza w historii muzyki”, wyd. Tebis, Poznań 2026, cena 99 zł



Jak ze Stalina zrobić sojusznika?

Po co – pyta historyk Giles Milton – do Moskwy polecieli Averell Harriman, amerykański kreuz i dyplomata i brytyjski ekscentryk Archi Clark Kerr? Jaką grę rozpoczęli z sowieckim tyranem? Giles Milton, „Sprawa Stalina”, wyd. Noir sur Blanc, Warszawa 2026, cena 99 zł



„Obrażają mnie, mówiąc, że chcę wojny”

Historyczna podróż w głąb mechanizmów propagandy, ukazująca, jak zachodnia prasa, nieświadomie lub z wyrachowaniem, stała się narzędziem w rękach nazistowskiego przywódcy. Éric Branca, „Wywiady z Hitlerem”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 79,90 zł



Armia Czerwona jako armia gwałcicieli

Leszek Piętko nie ma złudzeń: Związek Sowiecki, często idealizowany lub sprowadzany do uproszczonych narracji, stanowił kolebkę ludobójstwa i bezprecedensowego terroru. Leszek Piętko, „Zakazana historia Sowietów”, wyd. Fronda, Warszawa 2026, cena 69,90 zł



Armia bezkarnych hitlerowców

Reportaż sądowy, który z precyzją analizuje jeden z najbardziej złożonych problemów powojennej Europy: kwestię odpowiedzialności za zbrodnie nazistowskie. Tobiasz Buck, „Ostatni proces. Niemieckie rozliczenia z nazistowską przeszłością”, wyd. Czarne, Wołowiec 2026, 66 zł



Zgłiszczą po wielkiej wojnie Izraela

W 2025 r., w wyniku negocjacji prowadzonych przez Donalda Trumpa, w Gazie ustały działania wojenne. Pozostaje pytanie: czy faktycznie oznacza to trwały spokój w regionie? Paweł Rakowski, „Nowy Bliski Wschód”, wyd. ZonaZero, Warszawa 2026, cena 49,90 zł



O Biłgoraju – sztettlu utraconym

Andrzej Krawczyk, historyk i dyplomata, odtwarza świat żydowskiego miasteczka na przykładzie Biłgoraja – sztettla, który pokazał światu laureat Literackiego Nobla Isaac Bashevis Singer. Andrzej Krawczyk, „Jeszcze słysząc tę muzykę”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 89,99 zł

AUTOREKLAMA

0011481869

Konkurs plastyczny

dla dzieci w dwóch kategoriach
wiekowych: 7-10 oraz 11-14 lat

Daj dziecku puścić wodze fantazji!

Do wygrania supernagrody!

Zadaniem konkursowym jest przygotowanie
przez dziecko plakatu lub rysunku
nawiązującego do hasła „Ferie marzeń”!

Na zgłoszenia czekamy do 10 marca br.!

Do wygrania vouchery do sklepu Empik!

Więcej szczegółów oraz zgłoszenia na:
https://gazetalubuska.pl/konkurs_ferie

FERIE MARZEŃ!

ORGANIZATOR:

GAZETA LUBUSKA



WOJEWODA LUBUSKI
MAREK CEBULA

PARTNERZY:

POLREGIO



#napoprawęnastraju
FOCUS
mall



WIELKIE WYNIKI W LODOWATEJ WODZIE

Sześć medali i rekord świata Kamila Orwata, czwarte miejsce Filipa Kołodziejskiego i medal przegrany o setne sekundy. We włoskim Molveno podczas Mistrzostw Europy w Zimowym Pływaniu były emocje i walka z własnymi ograniczeniami.

– W lodowatej wodzie organizm zachowuje się inaczej, bolą dłonie i stopy, sztywnieją mięśnie, trudniej się oddycha – mówią zielonogórscy zawodnicy.

Urszula Baumann

Kamilu, to był debiut na Mistrzostwach Europy w Zimowym Pływaniu w wielkim stylu. Zostałeś gwiazdą reprezentacji.

Kamil Orwat, ZSR Start Zielona Góra: Zdobyłem sześć medali w kategorii Para Swimming: dwa złote na dystansach 100 m stylem grzbietowym i 250 m stylem dowolnym, dwa srebrne - na 50 m stylem grzbietowym i 50 m stylem dowolnym oraz dwa brązowe - na 100 m stylem dowolnym i 100 m stylem klasycznym. Pobiłem również rekord świata na 100 m stylem grzbietowym w kategorii para.

Który medal smakuje najbardziej?

Muszę przyznać, że na 250 m płynęło mi się najlepiej. Zwykniejąc na tym dystansie, czułem szczególną ekscytację. Wygrałem o niecałe 30 setnych sekundy. Cieszy mnie też złoto i rekord świata na 100 metrów stylem grzbietowym. W Molveno po raz pierwszy ścigałem się na plecach w zimnej wodzie. Nie do końca wiedziałem, jak to się płynię, bo jest zupełnie inaczej niż na basenie.

Filipie, od kilku lat reprezentujesz kraj w tej dyscyplinie. Przyzwyczaiłeś nas do tego, że z międzynarodowych imprez wracasz z medalami. Na koncie masz tytuły mistrza świata i Europy. Tym razem nie udało się stanąć na podium.

Filip Kołodziejski, UKS ZSMS Zielona Góra: Na 50 m stylem motylkowym byłem czwarty. Do medalu zabrakło mi 9 setnych sekundy. Na 50 m stylem grzbietowym zająłem piąte miejsce, a na 50 m stylem dowolnym byłem ósmy w eliminacjach. W finale nie popłynąłem, bo tylko dwóch reprezentantów danego kraju mogło walczyć o podium, a miałem trzeci czas wśród Polaków.

Czujesz rozczarowanie?

Jest niedosyt, bo do medalu zabrakło kilku setnych. Było blisko. Także na 50 metrów stylem grzbietowym mogło być dużo lepiej. Z drugiej strony jestem zadowolony, bo moje wyniki były na bardzo dobrym poziomie. Potwierdziłem, że nadal jestem w europejskiej czołówce.

Gdyby nie błędy w wyścigu stylem grzbietowym, prawdopodobnie stanąłbyś na podium. Kamilu, też miałeś w tej konkurencji drobne problemy. Dlaczego utrzymanie prostej linii podczas pływania w zimnej wodzie jest takim wyzwaniem?

KO: Są problemy z nawigacją. Na basenie można znaleźć jakiś punkt odniesienia, tutaj mieliśmy nad sobą niebo, chmury. Na dystansie 50 metrów trzy razy wpłynąłem w linę. To była lekcja, że trzeba się rozglądać, podnieść głowę, stracić trochę techniki i czasu, bo inaczej jest ciężko. Dzień później, w wyścigu na 100 metrów, poszło już o wiele lepiej, w linę wpłynąłem tylko raz.

FK: W moim przypadku było dużo gorzej. Wpadłem na linę całym ciałem i praktycznie wyhamowałem. To była strata nie do odrobienia.

Kamilu, byłeś pierwszym Polakiem, który wystartował w kategorii para w zawodach tej rangi.

To jest sport, który się rozwija, który potrzebuje zawodników. Przetarłem szlak, zobaczyłem, jak to wygląda od środka i będę zachęcał inne osoby, aby w przyszłym roku pojechały ze mną na zawody międzynarodowe. Będzie to dla mnie konkurencja, ale taka jest cena rozwoju tej młodej dyscypliny. Podczas mistrzostw Europy widziałem zawodników z różnymi niepełnosprawnościami. Były osoby niesły-

szące, niedowidzące lub niewidome. Jeden z uczestników jeździł na wózku, miał przerwany rdzeń kręgowy na wysokości odcinka piersiowego, nie czuł nóg, a mimo to pływał na krótkich dystansach. Większość niepełnosprawności - o ile nie są to problemy kardiologiczne - nie stanowi przeszkody w pływaniu w zimnej wodzie. Jeżeli ktoś umie pływać, warto spróbować. To nisza, w której - zwłaszcza w parapływaniu - można wiele osiągnąć.

Kibice nie narzekali na pogodę. Pierwszego dnia temperatura wynosiła -3 st. C, jednak w kolejnych dniach wzrosła nawet do 7 st. C. Ile stopni miała woda, w której odbywały się zawody?

KO: Pierwszego dnia termometry wskazywały 1,4 st. C. Później woda stopniowo się

ocieplała i ostatniego dnia miała 2,8 st. C. Każdy stopień przy niskich temperaturach to spora przepaść. Przy prawie 3 st. C było wyraźnie cieplej, lepiej się płynęło.

FK: Warto dodać, że aby rekordy mogły być uznane, temperatura wody nie może przekraczać 5 stopni. Chodzi o to, aby warunki, w których osiągnięte są najlepsze wyniki, były porównywalne.

Każdy z zawodników przed startem zakłada specjalny pas.

KO: Na zawodach tej rangi pasy są obowiązkowe z powodów bezpieczeństwa. Jeśli zaczęłoby się coś dziać z naszym organizmem, gdybyśmy potrzebowali pomocy, ratownik może nas łatwo chwycić i wyciągnąć z wody. Ważne, aby ten pas dobrze zapiąć. Zgubie-

nie go podczas rywalizacji grozi dyskwalifikacją.

Jakie jeszcze zasady obowiązują w zimowym pływaniu?

FK: Start odbywa się z wody, nie ze słupka. Zawodnik nie może zbyt długo płynąć pod wodą, musi wynurzyć się przed piątym metrem. Nie ma też nawrotów koziółkowych. Zawrotkę wykonuje się przez dotknięcie ręką ściany. Stroje startowe są takie same, jak w klasycznym pływaniu, z tą różnicą, że pływak może mieć tylko jeden czepek (na zwykłym basenie dozwolone są dwa). Zabronione jest stosowanie maści ochronnych, używanych przez pływaków długodystansowych w zimnych akwenach. Na dłuższych dystansach - zwłaszcza na 500 i 1000 metrów - sędziowie kontrolują tempo każdego zawodnika. Jeżeli ono wyraźnie spada, a kolejne 100 metrów zostaje przepłynięte znacznie wolniej, wyścig może zostać przerwany ze względów bezpieczeństwa. Na dłuższych dystansach obowiązują także limity czasu - po ich przekroczeniu zawodnik musi opuścić wodę.

Jak wyglądały wasze przygotowania do mistrzostw?

KO: Od września co tydzień jeździłem nad jezioro, a od listopada niemal co tydzień, aż do zawodów w Molveno, brałem udział w zimowych zawodach w różnych częściach Polski. Te starty były dla mnie solidnym treningiem.

FK: Do zawodów przygotowywałem się samodzielnie. Ułożyłem sobie plan treningów w basenie, na siłowni i w zimnej wodzie, ale nie do końca udało się go zrealizować. W listopadzie urodził mi się synek i to był dla mnie bardzo intensywny czas. Łączenie przygotowań z pracą zawodową i nową rolą ojca nie było łatwe. Gorzej przespane noce miały

spory wpływ na jakość treningów i regenerację organizmu.

Występ na mistrzostwach Europy wiązał się ze sporymi kosztami. Zawodnicy musieli samodzielnie opłacić przejazd, noclegi, wyżywienie, wpisowe. Sponsorzy nie ustawiają się do was w kolejce.

KO: Moimi sponsorami byli wszyscy, którzy wpłacili na zrzutkę założoną w internecie. To były kwoty od symbolicznej złotówki po grube pieniądze. Jestem im za to bardzo wdzięczny, bo bez nich mój wyjazd do Włoch byłby utrudniony. Musiałbym wziąć jakiś kredyt lub pożyczkę. Od momentu, gdy dowiedziałem się, że mam szansę startować w mistrzostwach, do wyjazdu było mało czasu, abym sam zdołał zebrać pieniądze. Miałem też duże wsparcie mojego klubu, który udostępnił busa. Dzięki temu mogliśmy komfortowo dojechać na miejsce. Mój trener, Mirosław Rutkowski, był jednocześnie kierowcą.

FK: Nie mam sponsorów. Wszystkie koszty związane z przygotowaniem i zawodami pokrywam z własnej kieszeni. To spory wydatek.

Jak zaczęła się wasza przygoda z pływaniem?

KO: W 2002 roku dołączyłem do klubu ZSR Start Zielona Góra, z którym jestem związany do dzisiaj. Pływam od ponad 24 lat. Codziennie mam treningi, trener daje mi konkretne zadania do wykonania. Mam za sobą wiele startów w zawodach różnej rangi. W 2007 roku byłem członkiem kadry narodowej osób z niepełnosprawnościami. Brałem udział w zawodach w Niemczech i Danii. W krajowych zawodach zdobywałem tytuły mistrza Polski. Medali mam naprawdę sporo. **FK:** Zacząłem pływać w drugiej klasie szkoły podstawowej w szkółce pływackiej



Kamil Orwat pływa od 24 lat, w zimnej wodzie od niedawna

FOT. ARCH. PRYWATNE

Korner-Novita 10. Do największych sukcesów należą mistrzostwo Polski juniorów w kategorii 17-18 lat na dystansie 200 m stylem grzbietowym oraz mistrzostwo Polski w tej samej kategorii wiekowej na 7,5 kilometra na wodach otwartych. Jeżeli chodzi o pływanie seniorskie, zdobywałem medale w sztafetach na mistrzostwach Polski.

Skąd wziął się pomysł, aby spróbować sił w pływaniu zimowym?

KO: To był czysty przypadek. Aby urozmaicić moje pływanie, latem wystartowałem na dystansie 3 km w Grand Prix Wielkopolski. To cykl imprez na wodach otwartych, za każdym razem na innym jeziorze. Byłem tam jedną osobą z fizyczną niepełnosprawnością, więc dość szybko zostałem dostrzeżony. W Skorzęcinie podszedł do mnie jeden z uczestników - Krzysztof Kubiak. Jak na sierpień było wtedy dość chłodno, 17 st. C i wiał silny wiatr. Z całej grupy tylko ja i on staliśmy w krótkim rekawku, reszta trzęsła się z zimna. Zapytał mnie, jak znoszę niższe temperatury, a potem opowiedział o zimowym pływaniu. Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Dał mi kilka wskazówek i za-

proponował, żebym spróbował swoich sił.

FK: Pływaniem w zimnej wodzie zainteresowałem się podczas pandemii. Było wtedy trochę więcej czasu, a ja natknąłem się w internecie na artykuł o mistrzostwach świata w pływaniu lodowym. Stwierdziłem, że to dla mnie szansa i spróbuję pościgać się w takiej formule. Z zimną wodą byłem trochę obyty, bo kilka lat wcześniej zacząłem razem z ojcem morsować. Od czasu do czasu zdarzało nam się wchodzić do zimnej wody. Przy okazji kolejnego morsowania przepłynąłem kawałek, żeby sprawdzić, jakie to są odczucia. Było ekstremalnie i nie płynęło się łatwo. Postanowiłem, że będę systematycznie wydłużał te odcinki i jak nadarzy się okazja, wystartuję w zawodach. Potem okazało się, że w lutym 2022 roku, w Głogowie, odbędą się mistrzostwa świata. Nie było się co zastanawiać.

I zostałeś mistrzem świata.

FK: Zdobyłem złoty medal na 50 m stylem motylkowym i srebrny na 50 m stylem grzbietowym. Od tamtych zawodów startowałem we wszystkich imprezach międzynarodowych wyższej rangi, czyli mistrzostwach Europy i mistrzostwach świata. Z każdej imprezy wracałem

z medalami, w tym zawsze ze złotym krążkiem. Największą satysfakcję sprawiło mi zwycięstwo w zeszłorocznych mistrzostwach świata na dystansie 50 metrów stylem motylkowym. Obsada była bardzo mocna. Pokonałem m.in. świeżego finalistę igrzysk olimpijskich w Paryżu w 2024 r. i zdobyłem trzeci z rzędu złoty medal mistrzostw świata w tej konkurencji.

Nie przez przypadek tegoroczne mistrzostwa Europy odbywały się we Włoszech i częściowo zbiegły się z rozpoczęciem igrzysk olimpijskich.

FK: Celem Federacji IISA (International Ice Swimming Association) jest wprowadzenie tej dyscypliny do programu igrzysk olimpijskich. Jej szefowie zaprosili do Molveno przedstawicieli Komitetu Olimpijskiego, żeby mogli zobaczyć na żywo zawody, zapoznać się z przepisami. Uważam, że ten sport ma ogromny potencjał. Bardzo szybko się rozwija, a poziom międzynarodowych zawodów rośnie z roku na rok. Za sprawą ekstremalnych warunków, w jakich odbywa się rywalizacja, ma szansę na zdobycie dużej popularności. Pływanie lodowe fajnie ogląda się zarówno na żywo, jak i na ekranie telewizora.



Filip Kołodziejski to wielokrotny mistrz świata w lodowym pływaniu

Pływanie zimowe jest w naszym kraju traktowane po macoszemu, choć każdego roku Polacy wracają z międzynarodowych zawodów z medalami. Czy Polski Związek Pływacki interesuje się tą dyscypliną?

KO: Uważam, że ten sport potrzebuje jeszcze kilku lat, zanim zostanie dostrzeżony. Na razie jest traktowany jako ciekawostka, patrzą na nas jak na lekkich freaków (dziwaków - dop. red.). W Polsce

ogromną popularność zdobyło morsowanie, ale o pływaniu lodowym mało kto słyszał.

FK: Myślę, że dopóki zimowe pływanie nie zostanie podłączone pod World Aquatics (międzynarodowa federacja zarządzająca sportami wodnymi, uznawana przez MKOl - przyp. red.), to Polski Związek Pływacki raczej się nim nie zainteresuje. Być może jest to też kwestia pieniędzy, których Związek nie ma dużo.

Jesteśmy w tym momencie, w którym należałoby wyjść trochę przed szereg i zanim dyscyplina się rozwinie i zostanie uznana przez World Aquatics albo zainteresuje się nią MKOl, stworzyć team, który będzie gotowy walczyć o medale dla Polski. Nie możemy się obudzić dopiero wtedy, gdy świat w to wejdzie. Bo gdy my będziemy się organizować, inni będą już świętować sukcesy.

©©

REKLAMA

0011474682



Czas na zdrowie



Zakwaterowanie



3 posiłki dziennie w formie bufetu szwedzkiego



Konsultacja lekarska



4 zabiegi dziennie (oprócz niedziel i dni świątecznych)



90 min. dziennie w Strefie Relaksu (sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)



Voucher do Integracja Cafe



52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicalspa@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl

STARE MIASTO KIEDYŚ BĘDZIE TRZEBA ODBUDOWAĆ

Był m. in. nauczycielem, samorządowcem, urzędnikiem, a od 2011 r. jest dyrektorem Muzeum Twierdzy Kostrzyn. Z końcem lutego Ryszard Skałba odchodzi na emeryturę. W rozmowie z Gazetą Lubuską przyznaje, że prowadzenie polskiego muzeum na ziemiach, które przez 700 lat były niemieckie, wcale nie jest takie proste.

Jakub Pikulik

Nie jest pan rodowitym kostrzynianinem, ale spędził pan tu praktycznie całe życie.

Przyjechałem z Podkarpacia jako 3-letni chłopczyk. Nie żałuję tego, choć był jeden wielki minus. Miałem ograniczony kontakt z rodziną. Wszyscy krewni, kuzyni, babcie, dziadkowie, zostali tam. Widywałem ich tylko raz w roku, gdy jechałem na wakacje. Na miejscu byli tylko rodzice i stryj, który był księdzem. Tu odbyłem całą moją edukację, a w 1983 r., po studiach, wróciłem. Tu podją-

łem pracę i zaangażowałem się w działalność społeczną i samorządową.

Był pan nauczycielem...

I to we wszystkich czterech kostrzyńskich szkołach podstawowych jednocześnie! Uczylem języka niemieckiego, ale również angielskiego, PO i prac ręcznych. Bywało tak, że jednego dnia przemieszczałem się z Drzewic do „czwórki” albo „jedyńki”, a z „jedyńki” do dwójki”. A dzwonniki w szkołach nie były w tym samym czasie. Gdy

kończyłem lekcję w jednej szkole, to o tej samej godzinie zajęcia zaczynały się w innej. Dyrektorzy to akceptowali. Umawiali się ze sobą i tak układali plan, żebym mógł zdążyć. To była fajna przygoda. Gdy przeszedłem do pracy do Zespołu Szkół, to sytuacja uległa radykalnej poprawie.

Lubił pan pracę z młodzieżą?

Tak, bardzo. Ale w dzisiejszych czasach chyba bym tego nie wytrzymał. To dlatego, że młodzież zmieniła. Zmienili się też nauczyciele,

rodzice. Teraz nie miałbym tyle cierpliwości. Wtedy były inne czasy, nauczyciele mieli autorytet, mimo że zarabiali naprawdę niewiele.

Pańscy uczniowie wspominają wycieczki, klub turystyczny.

Założony przeze mnie Klub Turystyki Górskiej nosił nazwę „Yeti Corps”. Zorganizowałem równo pięćdziesiąt imprez turystycznych. Zimowiska, obozy wędrownie, obozy letnie, stacjonarne, rajdy, biwaki. Prowadziłem kronikę klubu - mam ją do dzisiaj. Równolegle działałem w harcerstwie, w klubie sportowym Celuloza, w kostrzyńskich mediach...

...i w samorządzie. Był pan radnym na różnych szczeblach.

Trzy kadencje rady miasta, jedna kadencja w powiecie i jedna w województwie. Z samorządem byłem mocno związany i udało mi się zrealizować wiele ważnych pomysłów. Ale to temat na osobną rozmowę.

Od 2011 r. jest pan dyrektorem Muzeum Twierdzy Kostrzyn. Podczas spotkania wigilijnego pod koniec 2025 r. wspominał pan, że w minionym roku Stare Miasto odwiedziła tylko jedna wycieczka szkolna z kostrzyńskich szkół.

Tak, była to tylko jedna klasa, ale przyszli, nie żeby zwiedzać muzeum, tylko zorganizować tutaj ognisko. Żadna inna grupa z naszych szkół nie pojawiła się w muzeum - nie licząc dwóch grup podczas „Lata w mieście”. Trochę to przykre, ale nie mam na to wpływu. Rozmawialiśmy na ten temat z nauczycielami i niektórzy wychodzili z założenia, że to my powinniśmy jeździć do szkół na pogadanki. Ale to jest całkowite wypaczenie idei lekcji muzealnych. Chodzi o to, żeby młodzież miała bezpośredni kontakt z obiektami i zabytkami w historycznym miejscu, a nie w ławkach szkolnych. To jest

wartość dodana tego typu zajęć. W zeszłym roku mieliśmy ponad 20 grup młodzieży z Polski i zagranicy. Potrafili tu dojechać, poświęcić czas. Wiem, że to może być jakiś problem organizacyjny i że w programie nauczania nie ma historii lokalnej. Ale mając „pod ręką” Stare Miasto i muzeum, powinno się to wykorzystywać. Przykro, że niektórzy nie dostrzegają potencjału tego miejsca. Można tu prowadzić lekcje muzealne, warsztaty, gry terenowe, realizować projekty.

Trudno jest zarządzać kostrzyńskim muzeum?

Bardzo trudno. To nie jest jeden budynek z parkingiem, gdzie zwiedza się wystawę sala po sali. To jest jedyny w swoim rodzaju zespół muzealny, składający się ze Starego Miasta, które ma charakter muzeum na świeżym powietrzu, czegoś w rodzaju skansenu, oraz obiektów twierdzy i budynku administracyjnego z parkingami. Ekspozycja muzealna w Bastionie Filip, wyposażona w urządzenia elektroniczne oraz ekspozycje, narażona jest na wilgoć, zimno, zagrzybenie. Ciągłe mamy tam problemy z elektrycznością, przeprowadzamy ozonowanie, odgrzybianie. Teren Starego Miasta jest natomiast terenem ogólnodostępnym. To 17 hektarów, które musimy utrzymać. Trzeba kosić trawę, grabić liście, odśnieżać, wywozić śmieci, usuwać zakrzaczenia i wiatrołomy, konserwować infrastrukturę turystyczną. Zdarzają się akty mniejszego lub większego wandalizmu. Odbывают się tu imprezy, czasem dzikie, przychodzą osoby bezdomne. Wszystko spoczywa na naszych barkach. Nie znam drugiego takiego muzeum w Polsce. Ale Stare Miasto stanowi integralną część naszej oferty turystycznej. Do tego prowadzimy punkt IT i sprzedaż pamiątek w Bramie Berlińskiej. Obsługujemy ruch turystyczny - ponad 100 grup, które oprowa-

dzamy w języku polskim, niemieckim i angielskim. Do tego setki zabytków, które pozyskują archeolodzy w ramach prowadzonych badań i które trzeba poddać konserwacji i ewidencji. Prowadzimy również archiwum i czytelnię. To wszystko trzeba „ogarnąć”.

Z jakimi reakcjami się spotykacie, gdy oprowadzacie wycieczki z Polski lub zagranicy?

Dominuje zdziwienie, że takie miejsce jeszcze w Polsce się zachowało. Nasi przewodnicy pokazują na zdjęciach, jak niegdyś wyglądało Stare Miasto. Były tu piękne budowle. Zamek, kościół, ratusz, rynek, pomniki, kamienice, tramwaje. Tętniące niegdyś życiem miejsce. A tymczasem zwiedzający widzą przed sobą gruzowisko, pustynię, opuszczone miasto bez życia. Ludzi zadziwia skala zniszczeń. Widzą na własne oczy skutki wojny, która doprowadziła do tego, że to miejsce wygląda tak, jak wygląda. Są tacy, którzy przyjeżdżają i po prostu chodzą po uliczkach. Są zauroczeni, zadumani. Te wybrukowane zaułki, uliczki, chodniki, fragmenty murów, a do tego śpiew ptaków, zieleń dookoła, dla niektórych są przeżyciem również duchowym. Z kolei Kostrzynianie przychodzą tu na spacer, podłubać słonecznik na ławce, czy zjeść hamburgera z McDonald'a. Po prostu miejscowi do tego miejsca spowzednieli i to też jest w porządku.

Czy dobrze się stało, że Stare Miasto zostało odgruzowane w latach 90.?

Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Generalnie na pewno to jest plus, dlatego że to miejsce jest w miarę bezpieczne. Jeśli ktoś zachowuje się zgodnie z regułami, które wyznaczaliśmy, nie penetruje ruin, nie wchodzi do piwnic, nie szuka przygody w gąszczu gruzowiska, to może czuć się bezpiecznie. Dzięki odgruzowaniu

REKLAMA 0111477186

NOWOŚĆ
KTÓRA ZOSTAJE NA STAŁE!

PASIBRZUCH
BURGEROWNIA

Stubice, ul. Mickiewicza 1A

możemy zwiedzać „Stary Kostrzyn”. Niestety, popełniono wówczas również błędy. Akcja odgruzowywania nie była w pełni kontrolowana, pracowali przy tym przypadkowe osoby. Utraciliśmy sporo artefaktów, część z nich została sprzedana za śmieszne pieniądze. Trudno jednak mieć pretensje do samych pracowników, że brakowało im świadomości historycznej. Szkoda, że wówczas nie powołano chociaż jednej osoby, która by mogła sprawować nadzór konserwatorsko-archeologiczny nad całą akcją. Mielibyśmy w muzeum wiele więcej eksponatów, aczkolwiek trzeba przyznać, że to nie są przedmioty o wielkiej wartości materialnej. To w dużej mierze wyposażenie domów, ceramika, przedmioty codziennego użytku.

Relikty po przednich mieszkańcach miasta...

Oczywiście. I pojawia się pytanie, które też sam sobie zadawałem: Dla kogo my te zbiory zachowujemy? Z jednej strony to jest historia naszej małej ojczyzny, naszego miasta, ale z drugiej, to tak naprawdę jest to historia niemieckiej społeczności, która żyła tutaj przez kilkadziesiąt lat. Pojawiają się głosy, że powinniśmy prezentować polską przeszłość tego miejsca. Ale jak to zrobić, skoro ona ustała wieki temu? Przez 700 lat te ziemie były własnością templariuszy, joannitów, Krzyżaków, Nowej Marchii, Brandenburgii, Prus, Niemiec, III Rzeszy. 700 lat! Gdzie mamy szukać śladów tej polskości, skoro ich po prostu nie ma! Często stawialiśmy sobie pytanie, czy warto tak dbać o nie swoje dziedzictwo. Ale jaka jest alternatywa? Można oczywiście zamknąć muzeum i twierdzić, że utworzyliśmy muzeum polskiej historii Kostrzyna. Można myśleć o dokumentowaniu polskiej bytności na tych ziemiach od ponad 80 lat, ale to całkiem inny charakter placówek i raczej pruska twierdza nie nadaje się na jej podwoje.

Czy Stare Miasto powinno zostać odbudowane?

Kolejne z kategorii ciężkich pytań. Sądzę, że prędzej czy później to nastąpi. Ruiny kiedyś po prostu przestaną istnieć. Czas postępuje z nimi okrutnie, obserwujemy to na co dzień. Ich odsłonięcie spod gruzów w latach 90. też się do tego przyczyniło, erozja następuje szybciej. Ruin ubywa i po jakimś czasie zostaną już tylko wybrukowane ulice i chodniki. Gdy znikną ruiny, to zapewne odbudowa nastąpi. Ale nie będzie to wierna rekonstrukcja, tak jak to miało miejsce choćby w Warszawie. Można się spodziewać raczej powstania kamieniczek po-

dobnych do tych, które stoją teraz przy hotelu Bastion. Inwestycje będą musiały wypełniać zalecenia konserwatorskie, na pewno zostanie zachowana siatka ulic i placów, bruki, ale nie będzie to rekonstrukcja budynków. Póki te ruiny są jeszcze atrakcyjne, to trzeba je utrzymywać jako tak naprawdę jedyną atrakcję turystyczną w mieście.

A jeśli byłoby pieniądze na zachowanie fragmentu zniszczonego Starego Miasta? Kiedyś był pomysł, aby zadaszyć ruiny zamku i w jego piwnicach utworzyć trasę turystyczną. Piwnice zamkowe są jeszcze w takim stanie, że je można uratować i przygotować do wykorzystania turystycznego. Muzeum wydało w ostatnich latach 20 tys. zł. na wykonanie inwentaryzacji tych piwnic. Konserwator dorzucił następnie kilkanaście tysięcy na program ich zabezpieczenia. Ale następny krok należy do właściciela, czyli miasta Kostrzyn. Muzeum nie stać na tak dużą inwestycję. Nie możemy sobie pozwolić na wydanie kilkuset tysięcy złotych na zadaszenie zamku i jeszcze większej kwoty na zabezpieczenie i przystosowanie piwnic do zwiedzania. To są kwestie finansowe, które nas przerażają. Tymczasem miasto nieco przystopowało swoją aktywność na terenie Starego Miasta w momencie, kiedy powstała ekspozycja w Bastionie Filip. Został wyremontowany bastion, mur kurtynowy, Bastion Brandenburgia i obie bramy. Tyle tylko, że od tamtego czasu minęło ponad 12 lat. W planie jest rewitalizacja rawelinu August-Wilhelm i to będzie kolejna inwestycja po dość długim czasie.

Od 2011 r. często się panu zdarzało lawirować między tą polską a niemiecką historią? Spotykał się Pan z zarzutami, że promuje niemiecką historię? To jest polskie muzeum na polskiej ziemi. Ale musimy eksponować siłą rzeczy niemieckie zabytki. Mamy gotowy materiał na konflikt. Zarzuty pojawiają się i z polskiej i z niemieckiej strony.

Zniemieckiej?!

Tak. Niemcy zarzucają nam nierzadko, że nasza narracja jest antyniemiecka. Bo prezentując na przykład postać Fryderyka Wielkiego, czy ród Hohenzollernów, eksponujemy ich negatywny stosunek do Polski. Przedstawiamy Reinefartha jako wyjątkową kanalię i wskazujemy jednoznacznie, kto ponosi winę za to, że chodzimy po ruinach pięknego niegdyś miasteczka. Zarzuca się nam, że przywołujemy demony przeszłości, a przecież łączą nas obecnie przyjazne relacje. No ale historia jest, jaka jest i nie unikamy tych tematów,



FOT. JAKUB PIKULIK

Ryszard Skalba

które są mało chwalebne dla naszych sąsiadów zza Odry. Z drugiej strony mamy do czynienia z miastem, które przez 700 lat było niemieckie i nie da się wymazać tej wielowiekowej przeszłości. Na tych gruzach wyrósł nowy, polski Kostrzyn. To nie tak, jak w Polsce centralnej - gdzie nie spojrzymy, to widzimy polski pałac, dwór szlachecki, kościół, ratusz, miejsca po bitwach, polskich powstaniach, groby wielkich Polaków. My w Kostrzynie dopiero od kilku pokoleń tę polskość budujemy. A o tej niemieckiej przeszłości nie da się zapomnieć.

Zaskoczyła pana cała sytuacja z Fryderykiem? I to jeszcze teraz, pod koniec pełnienia funkcji dyrektora... (Pod koniec stycznia Muzeum Twierdzy Kostrzyn zorganizowało uroczystość przejęcia tablicy, poświęconej Fryderykowi Wielkiemu, która w latach 90. została nielegalnie wywieziona do Niemiec. Tablica upamiętniała pobyt Fryderyka w murach kostrzyńskiej twierdzy. Pruski władca był wrogiem Polaków. Pojawiły się zarzuty, że muzeum go gloryfikuje - dop. red.)

Ogromnie mnie to zaskoczyło. Trzeba było dużo złej woli, żeby tak zinterpretować przekazanie tablicy. Kto był na tym wydarzeniu, to widział jak ono wyglądało. To było zwyczajne, normalne przekazanie zabytku, który od lat starałem się odzyskać. Tak zwyczajnie, po ludzku, wkurzało mnie, że ktoś sobie po prostu zabrał i wywiózł z Kostrzyna naszą własność. Sprawa bezskutecznie zajmowała się prokuratura, konserwator zabytków. Wartość materialna tablicy jest znikoma, ale ma ona wartość historyczną. Chcieliśmy to przekazanie uatrakcyjnić, zachęcić mieszkańców do udziału w tym wydarzeniu. Na niej nie ma słowa nawet „Fryderyk”, bo jest uszko-

dzona, ten fragment jest odłamany. Na wydarzenie zaprosiliśmy ponad 90-letniego staruszkę z Niemiec, który niegdyś mieszkał w kamienicy, na której wisiała ta tablica. Opowiedział o swoim domu. Była nasza muzealna armata, z której strzelamy przy różnego rodzaju wydarzeniach. Była też osoba przebrana za Fryderyka. Ale przedstawiliśmy historię tablicy, a nie Fryderyka. Wspominaliśmy o krzywdach, jakie wyrządził narodowi polskiemu. I tyle. Ale przy złej woli każda inna inscenizacja mogłaby być tak odebrana. Przecież mieliśmy tutaj podczas Dni Twierdzy esesmanów, żołnierzy Wehrmachtu, Armii Czerwonej, Fryderyków, Prusaków i innych. Pojawiają się tu niemal co roku i nikt do tej pory nie robił z tego afery. Dlatego nie mam żadnych wyrzutów sumienia, za to mam osobistą satysfakcję, że tablica do nas wróciła. Dla zasady. Nie można sobie ot tak wywozić zabytków z naszego miasta. A co do całego okresu pełnienia funkcji dyrektora, to swoje obowiązki wykonywałem najlepiej, jak potrafiłem. Kierowałem się swoją najlepszą wiedzą i poświęciłem muzeum 15 lat życia. Niech inni ocenią moją pracę.

O czy od 2011 r. było coś, co chciał pan zrealizować, ale się nie udało?

Tak naprawdę, to żal kilku rzeczy, które się nie wydarzyły za mojej kadencji, ale na które nie miałem decydującego wpływu: rewitalizacja Bastionu Król, remont piwnic zamkowych, czy też brak uzyskania przez Stare Miasto statusu parku kulturowego. Ze swój strony zrobiłem, co mogłem, reszta należy do decydentów na wyższym szczeblu. Nie udało się też uruchomić aplikacji na telefon dla turystów indywidualnych, zwiedzających samodzielnie Stare Miasto. Mieliliśmy już podpisaną umowę z konkretną firmą,

która niestety zawiodła. Sprawa skończyła się w sądzie, wygraliśmy ją, ale straciliśmy czas i zabrakło go, żeby całą procedurę zacząć od nowa. A na tym bardzo mi zależało. Żałuję też, że byliśmy zmuszeni zrezygnować z Dni Twierdzy. To było „moje dziecko”, wymyśliłem tę imprezę jeszcze jako pracownik biura promocji w urzędzie miasta. Święto zyskało renomę w regionie. Zorganizowaliśmy dwadzieścia edycji. Niestety, trzeba było powiedzieć „dość”, ze względu na finanse i na to, że była to już zbyt duża impreza do zorganizowania przez nasze niewielkie muzeum. Ostatnie edycje organizowaliśmy czasem już na „wariackich papierach”. Finansowo, organizacyjnie i fizycznie nie dawaliśmy rady. Może kiedyś impreza zostanie reaktywowana.

A z czego będzie pan dumny?

Ekspozycja muzealna w Bastionie Filip. Oczywiście, to nie tylko moja zasługa, bo ogromną pracę wykonali też inni pracownicy, szczególnie Marcin Wichrowski. Ekspozycja powstała wysiłkiem pracowników muzeum, a w normalnych warunkach zleca się opracowanie ekspozycji, wynajmuje firmę zewnętrzną i fachowców z różnych dziedzin. Za samą koncepcję trzeba zapłacić kilkadziesiąt tysięcy złotych. My zrobiliśmy to własnym sumptem i wydaliśmy tylko 20 tysięcy na plastyk. Ale treść ekspozycji, wartość tablic informacyjnych, wszystkie bloki multimedialne, teksty, wizualizacje, fotografie, opracowaliśmy wysiłkiem własnym, i to w bardzo krótkim czasie. Przez półtora roku wykonaliśmy ogromną pracę. Były setki rysunków, instrukcji, dokumentów, opisów i wskazówek dla wykonawcy. Jesteśmy muzeum, które jest rozpoznawalne w Polsce i bardzo znane w regionie. Zaistnieliśmy też za granicą. Cieszę się też, że udało nam się

zainteresować historią miasta i regionu wielu naszych mieszkańców i nie tylko. Zorganizowaliśmy 66 wycieczek muzealno-krajoznawczych w Polsce i w Niemczech, w których wzięło udział łącznie ok. 2 tys. uczestników. To był też mój pomysł. No i zmieniliśmy siedzibę. To też kosztowało mnie sporo wysiłku. Wychodziłem nową siedzibę u władz miasta. Mamy ją po straży granicznej. Wyremontowaliśmy pomieszczenia i wyposażyliśmy w przeważającej części za własne, muzealne pieniądze. A przenieśliśmy się z baraku, w którym ośmiu ludzi pracowało w jednym pokoju. Co druga osoba, która tam wchodziła, myślała to miejsce z kantorem.

Pana następczynią będzie Julianna Sójkowska-Socha, zatrudniona do tej pory jako muzealny archeolog. Cieszy się pan, że to będzie ktoś stąd?

Nie mam na ten temat opinii, czy lepsza jest osoba znająca pracę firmy od podszewki, czy też osoba z zewnątrz, ze świeżym spojrzeniem. Życzę oczywiście Juliannie i tej instytucji jak najlepiej. Zawsze ktoś nowy ma nowe pomysły, nową energię. Wiem, że pozostawiam to muzeum w bardzo dobrej kondycji finansowej, mamy na koncie prawie 500 tys. zł. Nie będzie tak, że nowy dyrektor będzie z trudem wiązał koniec z końcem. Mamy też wakaty na kilku stanowiskach. Nie chciałem zatrudniać nowych pracowników tuż przed odejściem na emeryturę. Zrobi to moja następczyni, sama doborze sobie współpracowników.

Wspólnie z Jerzym Dregerem, byłym pracownikiem muzeum, pisze pan książkę o kostrzyńskich pomnikach i tablicach pamiątkowych. Jak idzie praca nad tą publikacją?

Jest na ukończeniu, domykamy skład w wydawnictwie. Pomysł na tę książkę kielkował mi w głowie od czasu, gdy pracowałem w Technikum Hotelarskim. Wówczas byłem promotorem pracy dyplomowej jednej z absolwentek na temat kostrzyńskich pomników. To była praca na około 30 stron, ale historia kostrzyńskich pomników, kamieni i tablic pamiątkowych jest o wiele bogatsza. Okazuje się, że w mieście mieliśmy (część mamy nadal) ponad 100 takich obiektów. To będzie publikacja mająca ponad 500 stron i prezentująca kilkadziesiąt fotografii, w większości dotychczas nie publikowanych. I to nie będzie katalog poszczególnych obiektów, ale przede wszystkim opowieść prezentująca to historyczne ich powstanie - od wieków średnich, aż po dzisiejsze czasy. Wieczór autorski już wkrótce.



FOT. MARIUSZ KAPALA

CYMPER - FINAŁ KARNAWAŁU

W niedzielę ulicami Dąbrówki Wielkopolskiej przeszedł niesamowity barwny korowód. Pogoda dopisała i udało się pięknie cymprem pożegnać karnawał.

Michał Korn, Mariusz Kapala



FOT. MARIUSZ KAPALA



FOT. MARIUSZ KAPALA

Był kominiarz, ksiądz, diabeł, milicjant, czerwony kapturek, kowboje, muzycy, smerfy i inni przebierańcy. Przysiąc trzeba, że w Dąbrówce Wielkopolskiej Cymprowicze cieszą się ogromną sympatią, a sami uczestnicy co roku prześcigają się w pomysłach na coraz bardziej zmyślnie stroje. Do Cympowania potrzebny jest zestaw tradycyjnych postaci, które przewijają się regularnie. A są to m.in. kominiarz, para młoda, cyganka, milicjant, piekarz, rzeźnik czy rolnik. Uczestnicy korowodu przebiegają także w inne przebojowe i tradycyjne stroje.

Smakołyki i coś mocniejszego

Mieszkańcy Dąbrówki Wielkopolskiej chętnie dziś otwierali Cymprowicem drzwi swoich domostw częstując ciastem, pączkami i innymi smakołykami. Znalazło się też coś mocniejszego! Jak głosi hasło, kto przyjmie Cymper, ten będzie miał szczęście i dobrobyt przez cały rok.

- Dbamy o to, by ta tradycja nie zanikła. Staramy się ją pielęgnować, bo Dąbrówka od pokoleń opiera się właśnie na pięknych zwyczajach - podkreślają organizatorzy.

Cymper to radosne zakończenie karnawału, czyli dawne zapusty. Przebrani uczestnicy odwiedzają domy, odgrywają rozmaite scenki, symbolicznie „wykupując” mieszkańcom pomyślność na nadchodzący rok. W zamian otrzymują poczęstunek, a potem wspólnie świętują aż do świtu. Jest to unikalny obrzęd ludowy, głęboko zakorzeniony w kulturze zachodniej Wielkopolski,

a także na obrzeżach dzisiejszego Lubuskiego Jego nazwa wywodzi się od niemieckiego słowa „zimperlich”, oznaczającego sztuczność lub nienaturalność, co doskonale oddaje charakter karnawałowych przebiezańców. Tradycja polega na organizowaniu barwnego pochodu w ostatnią niedzielę karnawału - tuż przed rozpoczęciem Wielkiego Postu.

Pomocja wsi i tradycji

W okolicach południa, korowód wyruszył spod pałacu w Dąbrówce Wielkopolskiej, przeszedł ulicami miejscowości i zawędrował do dużej sali Centrum Kultury i Folkloru, gdzie ze smacznym posiłkiem już czekało Koło Gospodyń Wiejskich. W zabawie brały udział również dzieci pod opieką dorosłych, a nad całością czuwali strażacy OSP. Muzyka? To podstawa, nie mogło jej zabraknąć.

Czy uczestnictwo w takiej imprezie to idealne zwieńczenie karnawału? Zdecydowanie tak. Klimat ludowej tradycji jest w Dąbrówce Wielkopolskiej jest niezwykle silny.

To wydarzenie jest również znakomitą promocją miejscowości także poza granicami Ziemi Lubuskiej. Przejżdżając w tym czasie przez wieś obserwatorzy z zewnątrz są zawsze bardzo ciekawi i chętnie zatrzymują się obserwując tradycyjną zabawę w czystej postaci. Cymprowicze to niezłe gagatki. Ponoć bywały sytuacje, że przestawili przyczepę, wystawili bramę, lub jak to miało miejsce tym razem, samochód na sprzedaż. To oczywiście niewinne żarty, które mają wyłącznie wywołać uśmiech na twarzach gospodarzy. I dokładnie tak się dzieje.



FOT. MARIUSZ KAPALA



FOT. MARIUSZ KAPALA



FOT. MARIUSZ KAPALA



FOT. MARIUSZ KAPALA



FOT. MARIUSZ KAPALA

POMOST MIĘDZY WCZORAJ A DZIŚ

Anastazja Sterma i Nikodem Fijoł są studentami trzeciego roku literatury popularnej i kreacji światów gier na Uniwersytecie Zielonogórskim. Stworzyli grę planszową o dawnej Nowej Soli. – Można w nią zagrać, ale też się czegoś dowiedzieć o historii miejsca, w którym żyjemy – mówią.

Mateusz Pojnar

Dlaczego wybraliście akurat ten kierunek studiów? Jest nie-banalny.

Anastazja Sterma: Od małego grałam w gry planszowe i cyfrowe. Interesuję się też szeroko rozumianą popkulturą: filmami, serialami, muzyką czy komiksami. Uznałam, że to jest kierunek dla mnie, że tutaj się odnajdę.

Nikodem Fijoł: Znamy się z Anastazją od lat i od gimnazjum razem „graliśmy w gry” [uśmiech]. Też interesowałam się tym od dziecka i gdy dowiedziałem się, że na UZ jest taki ciekawy kierunek, zdecydowałam się zapisać. On ciekawie brzmiał z nazwy, ale w praktyce też się taki okazał.

Jak wygląda wasza nauka?

Anastazja: Jeśli chodzi o stronę literaturoznawczą, najważniejsza jest literatura popularna. Na każdym roku mamy do przeczytania bardzo dużo książek. Z nich czerpiemy motywy i inspiracje do tworzenia światów gier. Uczymy się o mitach i religiach, bo literatura fantasy czerpie z nich pełnymi garściami. To jest podstawa w tworzeniu opowieści i postaci.

Nikodem: Jest też strona groźna: mamy podział na gry analogowe i cyfrowe. Na początku mieliśmy dużo wprowadzenia i teorii, sporo dowiedzieliśmy się o zasadach, które funkcjonują np. w grach planszowych. Teraz, po podstawach, tworzymy już swoje projekty i prototypy.

Jesteście autorami gry planszowej „Zeitreise: Neusalz”, czyli „Podróż w czasie: Nowa Sól”. Skąd wziął się pomysł, żeby stworzyć rzecz o przedwojennym mieście?

Anastazja: Zainspirował nas prof. Bogdan Trocha, nasz wykładowca, który również pochodzi z Nowej Soli. Miał pomysł na grę o mieście. Finalnie przenieśliśmy się w czasie do Neusalz. Koncepcja mocno się zmieniła na przestrzeni ponad roku, bo tyle to wszystko tworzyliśmy.

Nikodem: Na początku gra miała być czymś w rodzaju fantastyki. Chcieliśmy pokazać obecne budynki, tyle że nieco zmienione, z taką fantastyczną otoczką. Gracz miał odkrywać miasto. Ale doszliśmy do wniosku,



Anastazja i Nikodem stworzyli grę o swoim mieście

że dałoby się to zrobić, tylko to nie ma sensu. Studio-wałam chwilę historię, spodobało nam się nawiązanie do przeszłości i gdy rozpisaliśmy sobie, jak to miało być, okazało się, że to jest lepszy pomysł.

Zbieranie materiałów było trudne?

Nikodem: Czasochłonne. Bardzo pomógł nam Siegfried Schorsch, który mieszkał jako dziecko w Neusalz i w tym roku został honorowym obywatelem Nowej Soli.

Anastazja: Dużą pomoc dostaliśmy od Archiwum UZ, również od dyrektora nowosolskiego muzeum Tomasza Andrzejewskiego i pracowników Centrum Informacji Turystycznej. Pomógł internet, gdzie znaleźliśmy historyczną mapę Neusalz pochodzącą z archiwum Uniwersytetu Wrocławskiego. Oprócz tego korzystaliśmy z Facebooka, gdzie jest m.in. grupa „Nowa Sól wczoraj”. Oczywiście korzystaliśmy też z pomocy naszych wykładowców.

Na czym polega ta gra? I co trzeba robić, by wygrać?

Nikodem: Przenosimy się mniej więcej do lat 1900-1930. Wcielamy się w osoby, które przyjechały do Neusalz, żeby wygrać konkurs na miejskiego fotografa, który zorganizował burmistrz.

Żeby zdobyć jak najwięcej punktów, zbieramy główne

pocztówki, na których są różne miejskie obiekty. Gracz może też zbierać pocztówki poboczne, karty miejsc. Niektóre mają specjalizacje. Grający na początku dobiera kartę postaci ze specjalizacją i jeżeli np. ma obiekty szpitalne i zbierze kartę szpitala, to dostaje większą ilość punktów. Gracze mogą też kraść sobie pocztówki. Gdy im się nie uda, dostają kary punktowe.

Na kartach miejsc mamy opisaną ich historię. Niektórych z nich w mieście już dziś nie ma. I to jest ważny walor edukacyjny: można się wiele dowiedzieć o historii Nowej Soli.

Anastazja: Na tym przede wszystkim nam zależało. Chcieliśmy pokazać, jak miasto wyglądało przed wojną. I jak było tutaj ładnie. Nowa Sól nadal jest ładna, ale wydaje nam się, że kiedyś była nawet bardziej. Miała więcej zieleni. Gdy stoimy na kładce nad Odrą, z jednej strony widzimy miasto, z drugiej – las i wieś Stany. I dowiedzieliśmy się, że po tej drugiej stronie była kiedyś restauracja nad rzeką.

Nikodem: A na dzisiejszym placu Wyzwolenia był wielki targ. Miasto wyglądało całkiem inaczej.

Anastazja: Chcieliśmy o tym opowiedzieć, bo wielu mieszkańców nie wie za dużo o historii Nowej Soli. Wiedzą o tym, co tu i teraz. Budujemy

pomost pomiędzy niemiecką przeszłością a polską teraźniejszością.

Nikodem: Młode pokolenie jest bardziej nastawione na formę pewnego rodzaju rywalizacji w świecie gier, niż np. na czytanie o historii w książkach. Dzięki „Zeitreise” mogą pograć, ale też się czegoś dowiedzieć o miejscu, w którym żyją.

Zdarzało się, że na tych przedwojennych pocztówkach nie poznawaliście swojego miasta?

Nikodem: Tak, łapałem się na tym.

Anastazja: Mieszkam bliżej centrum, więc częściej tędy chodzę i rozpoznawałam budynki, choć rzeczywiście czasem było trudno. Bardzo się zmieniły, w dodatku części z nich już nie ma.

Wspomniany przez was pan Siegfried jest też jednym z bohaterów „Zeitreise”?

Anastazja: Tak, bo chcieliśmy go w ten sposób uhonorować, podziękować za przesłane materiały. Zrobił dużo dla miasta. **Nikodem:** Pan Siegfried wysłał nam z Drezna całą paczkę, w której mieliśmy dokumenty, gazety, pocztówki, książki. Nieoceniona pomoc, przemiły człowiek. Historia relacji polsko-niemieckich jest trudna. Powinniśmy o niej rozmawiać, żeby do pewnych rzeczy już nigdy nie doszło. Dla mnie kontakt z panem Siegfriedem to

jest coś wyjątkowego. Zależy mu na budowaniu pojednania.

Jeśli ktoś po naszej rozmowie będzie chciał zagrać w waszą grę, to gdzie może to zrobić?

Anastazja: Zapraszamy na www.ludica.pl/zeitreise-neusalz. Jest to też miejsce do podzielenia się opinią i na tym nam bardzo zależy. Formularz jest anonimowy, więc nie będziemy nikogo ścigać [uśmiech].

Nikodem: Nam te opinie bardzo pomagają, bo gdy ostatnio wprowadzaliśmy poprawki do gry, wdrożyliśmy je właśnie po sugestiach graczy.

Podczas prac fascynowało was też to, że tworzyście jakiś świat od nowa, na swoją modłę?

Anastazja: Nikodem bardziej siedział w światotwórstwie, kompletował ten świat. Ja bardziej zajmowałam się stroną graficzną, żeby go przedstawić. Te dwie rzeczy były nierozdzielne. To żmudna praca.

Może jej efekt powinni poznać uczniowie nowosolskich szkół?

Anastazja: „Zeitreise” jest właśnie testowana w „Ogólniaku” i „Elektryku”. To był również nasz cel: pokazać, że wiedzę o regionie można przekazywać nieco inaczej. Zależy nam też, żeby gra trafiła do podstawówek. Jestem ciekawa, jak wyglądałaby rozgrywka jeszcze młodszych uczniów.

Pracujecie nad swoimi licencjami. Opowiedzcie, o czym będą, bo pojawiają się lokalne akcenty.

Nikodem: Moja będzie o wdrażaniu elementów edukacyjnych na przykładzie wybranych dzieł, gier. Opowiem o tym, czym jest mechanika w grze i jak można poprzez gry przekazywać wiedzę. Posłużę się m.in. przykładem mojej autorskiej gry planszowej o tworzeniu chleba. Robię ją we współpracy z moim dziadkiem [Jan Fijoł to twórca znanej w regionie piekarni - red.]. To będzie prototyp, schemat gry.

Anastazja: Na początku myślałam, że mój licencjat oparę na historii związanej z dawną nowosolską fabryką Gruschwitza, ale poszłam w inne strony. Zaciekał mnie skansen w Ochli. Moja gra będzie o lnie, od nasiona

po przędzę, czyli o tym, jak wyglądał kiedyś proces tworzenia przędzy lnianej. Oprócz tego opowiem o tworzeniu edukacyjnych gier planszowych.

Wasza gra jest już skończona i dostępna w internecie, ale chcielibyście ją wydać. Czyli zachęcamy sponsorów, żeby wam pomogli?

Anastazja: Tak, zależy nam na tym. Można się z nami skontaktować na Facebooku albo poprzez formularz dołączony do gry. Cieszylibyśmy się, gdyby ona wyszła w formie fizycznej, a nie była tylko do wydrukowania jak dziś. W końcu włożyliśmy w nią dużo pracy. Chcielibyśmy, żeby trafiła choćby do muzeum, biblioteki, informacji turystycznej, do naszych szkół. Żeby po prostu była ogólnodostępna. Np. niektórzy seniorzy nie mają internetu i nie mogą dziś z niej skorzystać. Mam też nadzieję, że nasza historia zainspiruje innych, żeby poszli na ten kierunek studiów. Młodzi często nie mają pomysłu na siebie. Studiujemy w miejscu otwartym na pomysły, przyjaznym. Są tu ludzie, którzy nauczą i pomogą. Można tu robić fajne rzeczy. Trzeba tylko chcieć, działać i się nie zatrzymywać.

Przed wami jeszcze magisterka, ale co chcielibyście robić w życiu po studiach?

Anastazja: Chciałabym założyć coś swojego. Tworzyć gry. Jeszcze nie wiem jakie: może cyfrowe, może planszowe? Rozmawialiśmy kiedyś z Nikodemem o zrobieniu firmy produkującej gry cyfrowe, bo to daje fajny start. Zobaczymy. Myślałam też o dalszym rozwoju: kolejne kursy albo jeszcze jeden kierunek studiów, np. we Wrocławiu? A może zostanie tutaj? Jest jeszcze trochę czasu na to, by podjąć decyzję.

Nikodem: Teraz przede wszystkim magisterka. Skupiam się na razie na światotwórstwie. Zaczęłam się nim mocniej interesować w momencie, gdy zaczęliśmy robić „Zeitreise”. Pomysł założenia firmy jest ciekawy. Mamy już trochę doświadczenia i kontaktów. Tak, chcę tworzyć gry. Ta branża przechodzi kryzysy jak każda, ale jest bardzo popularna. I są w niej ogromne pieniądze.

PULS

#204

Jak igła
w stogu
DNA
Str. 16-17



GENEALOGIA. LEPIEJ ZROZUMIEĆ SIEBIE

Poszukujemy swoich korzeni z różnych powodów: z chęci potwierdzenia swojej szlacheckości, odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy. Poczucie przynależności do rodziny i jej historii daje poczucie tożsamości i wewnętrzną siłę. Dzisiaj badaniem naszej przeszłości zajmują się już wyspecjalizowane firmy, a rozwój genealogii dość niespodziewanie pomógł innej dziedzinie nauki – kryminalistyce

Dorota Kowalska

Paweł Świetlik – z wykształcenia archeolog, z zamiłowania genealog, funkcjonariusz Służby Więziennej, strażak ochotnik i społecznik. Od małego interesował się historią. Babcia Stasia miała w szafie pudła ze starymi zdjęciami – przeglądał je, dopytywał, kto jest na zdjęciach, co się z tym kimś stało.

– Ale genealogia, tak na poważnie, wzięła się trochę przez przypadek. Kiedyś mama wspominała dawne czasy i swojego dziadka Józefa Limańskiego. Mówiła, że całe życie pracował na kolei i nic z tego nie miał, ale dostał trzy krzyże i ona je doskonale pamięta. Ojciec się śmiał, że pewnie sobie kupił te krzyże na targowisku. Pomyślałem: „Chwila, przecież jeśli to były odznaczenia państwowe, to możemy sprawdzić, czy je dostał, czy nie”. Tak to się zaczęło – wspomina.

Mógł mieć wtedy niewiele ponad 20 lat, dzisiaj ma 44. Stwierdził, że jeżeli to był Krzyż Walecznych, to prawdopodobnie przyznała go pradziadkowi Kancelaria Prezydenta. Napisał jednak najpierw do Centralnego Archiwum Wojskowego w Rembertowie, poprosił, żeby sprawdzili teczkę Józefa Limańskiego. Okazało się, że rzeczywiście, był w niej wniosek o przyznanie Krzyża Walecznych. Wysłał więc pismo do Kancelarii Prezydenta, a ta za opłatą wydała mu duplikat odznaczenia.

– Dowiedziałem się też, że podczas I wojny światowej pradziadek walczył na froncie we Francji, obok niego wybuchła bomba i stracił słuch. Dostał za to od cesarza Wilhelma Krzyż Żelazny – tłumaczy Paweł Świetlik.

Rozwiązał zagadkę odznaczenia swojego pradziadka, a właściwie dwóch odznaczeń, i pomyślał, że sprawdzi innych członków rodziny, a może dowie się o nich czegoś ciekawego.

Wywodzi się z rodziny mundurowej. Dziadek – strażak, oj-

ciec – strażak, brat dziadka – strażak. Zaczął szperać. Jest gdzie. Dla niego pomocne było Centralne Archiwum Wojskowe, bardzo bogatym źródłem wiedzy są też koperty dowodów osobistych w urzędach gminy.

– W takich kopertach dowodów osobistych można znaleźć dokumenty z czasów okupacji hitlerowskiej. Niemcy wydawali swoje dowody, książeczki, inne dokumenty. Później, kiedy wojna się kończyła, każdy musiał udowodnić, że nazywa się tak a nie inaczej. Ludzie oddawali niemieckie dokumenty i w latach 50. zaczęto im wydawać dowody osobiste. Więc w kopertach dowodowych jest mnóstwo ciekawego dla genealogów materiału – tłumaczy.

I dodaje, że kolejne ważne źródło informacji, zwłaszcza jeśli ktoś ma w rodzinie mundurowych – kolejarzy, strażaków, pocztowców – to archiwa tych instytucji. Kolejna sprawa to ZUS – tam z kolei można przejrzeć akta emerytalne.

– Przecież jak ktoś przechodzi na emeryturę, musi złożyć w ZUS-ie podanie, opisać swoją historię, złożyć świadectwa pracy, dokumenty o wykształceniu. Wszystko w tych teczkach zusowskich jest. Także szkoły mają swoje archiwa. Można z nich wyciągnąć świadectwa, zdjęcia. Wydziały komunikacji mają te czki praw jazdy, kart woźniców – wylicza Paweł Świetlik.

W jego rodzinie, jak mówi ze śmiechem, jest wszystko od prawa do lewa, tak jeśli chodzi o poglądy polityczne, jak i o status społeczny, bo są i robotnicy, i kolejarze, i strażacy, i wła-

ściciele majątków ziemskich. Jego pradziadkowie od strony ojca mieli w Pigłowicach dworek i sporo ziemi, ale już żona Józefa Limańskiego była służącą u jakichś ziemian. Szczególnie bliski jest mu Józef Limański, bo od niego wszystko się zaczęło, a ze strony żony Marcin Banaszak, który walczył w powstaniu wielkopolskim, a potem w wojnie polsko-bolszewickiej.

– Genealog to jest taki trochę detektyw, prawda? – dopytuję.

– Detektyw i człowiek nieuleczalnie chory, bo jak ktoś chwyci bakcyli genealogii, to już się z tej pasji nie wyleczy, wszędzie będzie węszył – wybucha śmiechem Świetlik.

Dzisiaj możliwości są większe. Kiedy zaczynał, internet raczkował, teraz można w nim znaleźć masę informacji. Mają wyszukiwarki dla genealogów, w sieci są przeróżne dokumenty, chociażby księgi metrykalne, można wejść w archiwa wielu instytucji. Inna rzecz, że genealogi są dobrze zorganizowani: mają swoje stowarzyszenia, fora, jest coraz więcej publikacji naukowych na temat genealogii.

– I coraz więcej ludzi chce wiedzieć, kim byli ich przodkowie, czym się zajmowali. Nie wiem, czy to kwestia mody, czy po prostu szukamy swojej tożsamości – wzrusza ramionami.

On miał w Centrum Kształcenia Zawodowego i Ustawicznego Hipolit w Środzie Wielkopolskiej spotkanie z młodzieżą. Opowiadał właśnie o tym, jakie są źródła informacji, gdzie szukać dokumentów. Młodzi słuchali z zainteresowaniem.

Na tropie swoich przodków

Genealogia już od dawna uznawana jest za swoisty fenomen. W Stanach Zjednoczonych swoich korzeni poszukuje grubo ponad sto milionów ludzi, a genealogia to drugie – po amatorskim uprawianiu ogródka – ulubione hobby Amerykanów. Liczba tych, którzy tworzą drzewa genealogiczne, rośnie w Niemczech i we Francji. Wszyscy oni mają do dyspozycji internet, a w nim kilkanaście portali, na których mogą szukać swoich krewnych. Oprócz tego książki, poradniki, wreszcie największy na świecie zbiór rejestrów kościelnych i dokumentów emigracyjnych gromadzonych od 1894 roku w Bibliotece Historii Rodziny w Utah przez członków Kościoła Mormonów. Od 1938 roku mormoni utrwalają dane na mikrofilmach, obecnie jest ich w Bibliotece kilka milionów. Na świecie działa kilkaset ekip wolontariuszy – wyznawców Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, którzy utrwalają na kliszach dokumenty mogące pomóc w odszukaniu informacji o swoich przodkach.

„Popyt na korzenie” jest tak duży, że na świecie działają specjalistyczne firmy, które za odpowiednim wynagrodzeniem zajmują się tworzeniem drzew genealogicznych na zamówienie. A dla tych, którym spotkanie z historią własnej rodziny popsuło nastrój, rozczarowało albo przyprawiło o stres, powstał nowy dział psychologii – psycho-genealogia.

Co by nie pchało amatorów do ciągłych poszukiwań, oni sami powtarzają, że najważniejsza jest dla nich radość rozwiązywania zagadek, ta zabawa w detektywa, który, umówmy się, nie robi nic innego, jak „grzebie w trupach”.

„Poszukiwania genealogiczne stanowią swego rodzaju śledztwo polegające na zbieraniu dowodów, ich weryfikacji, ana-

lizie i wreszcie rekonstrukcji wydarzeń w oparciu o zebrany materiał i wysnute zeń wnioski” – pisze w „Poradniku Genealoga Amatora”, uważanym za genealogiczny elementarz, Rafał T. Prinke. I dalej: „Podobnie jak detektyw, genealog musi nie tylko umieć odróżnić informacje prawdziwe od fałszywych, ale także stawiać najbardziej prawdopodobne hipotezy robocze w przypadkach, kiedy brak jest bezpośrednich dowodów. Oczywiście proces poszlakowy nigdy nie daje stuprocentowej gwarancji, że ukarana będzie właściwa osoba – tak samo hipotetyczne odtworzenie powiązań genealogicznych nie daje pewności, że są one właściwe”.

Zabójstwo daje początek policyjnemu śledztwu, które musi odpowiedzieć na siedem podstawowych pytań: Co? Gdzie? Kiedy? Kto? Czym? W jaki sposób? Dlaczego? A proces dochodzenie prawdy jest niczym innym, jak prześledzeniem życia człowieka od jego narodzin po dzień zabójstwa. W genealogii impuls do podjęcia detektywistycznej pracy nie ma na szczęście tak drastycznego podłoża i jest różny – zależnie od kultury, religii i mentalności.

Dla mormonów poszukiwania swoich przodków to rodzaj posłannictwa czy może raczej przykazanie dane im od Boga. Mormoni wierzą, że każdego człowieka można ochrzcić nawet po jego śmierci, i choć to wprawdzie duch przodka, który zachowuje wolę i świadomość, decyduje, czy chce być ochrzczony, czy nie, oni muszą dać wszystkim jednakową szansę. Także każdy Hindus ze względów religijnych musi znać historię swoich przodków, co najmniej do czwartego pokolenia. Ten wywód jest wpisywany do horoskopu otrzymanego przy urodzeniu, a imiona przodków odczytywane podczas ceremonii ślubu czy innych obrzędów, z prośbą o wsparcie duchowe.

Z kolei w Japonii genealogia stanowiła integralny element tradycji samurajskiej, a poszczególne rody przechowywały informacje o swoich przodkach w specjalnie stworzonych do tego celu bibliotekach. W Chinach pierwotny kult przodków przetrwał jako ważny element konfucjonizmu. Ale i tak nie do pobicia wydają się Polinezyjczycy, bo każdy z nich historię swojej rodziny, obejmującą ostatnich pięćuset lat, wyrecytuje z pamięci wyrwany ze snu w środku nocy. Jak pisze Rafał T. Prinke, w społecznościach o strukturze plemiennnej znajomość więzów krwi miała zasadnicze znaczenie nie tylko dla klasy posiadającej, ale dla wszystkich jej członków.

Nasze poczucie przynależności

Kinga Urbańska ukończyła studia na kierunku historia (specjalność archiwistyka i edytorstwo źródeł), od lat pracuje jako genealog. Jest współzałożycielką firmy genealogicznej Your Roots in Poland, wiceprezeską Stowarzyszenia Twoje Korzenie w Polsce, współautorką kilku książek, w tym „Genealogia dla najmłodszych”, czyli wyjątkowa podróż w czasie”.

– W moim rodzinnym domu bardzo dużo mówiło się na temat pochodzenia szlacheckiego, herbów. Krążyła rodzinna legenda, że moi przodkowie mieli swoje włości gdzieś na wschodzie, skąd musieli uciekać. Ona została przekazywana także przez członków rodziny, którzy byli w zakonie, bo mój dziadek był zakonnikiem, a jego brat nawet prowincjałem karmelitów bosych w Krakowie. Więc skoro takie osoby przekazywały te informacje, uznaliśmy je za wiarygodne. Wciągnęły mnie ta historia – opowiada.

Zresztą, potem, kiedy genealogią zaczęła zajmować się zawodowo, sprawdziła swoje korzenie. Okazało się, że na pewno od 1750 roku Urbańscy nie byli

CORAZ WIĘCEJ LUDZI CHCE WIEDZIEĆ, KIM BYLI ICH PRZODKOWIE, CZYM SIĘ ZAJMOWALI. MOŻE PO PROSTU SZUKAMY SWOJEJ TOŻSAMOŚCI?



„Popyt na korzenie” jest tak duży, że w Polsce i na świecie działają specjalistyczne firmy, które za odpowiednim wynagrodzeniem zajmują się tworzeniem drzew genealogicznych na zamówienie

szlachcicami - byli zamożnymi chłopami, tyle.

- Z czym mój tata się nie pogodził. On wciąż twierdzi, że skoro jego stryj powiedział, że nasi przodkowie byli szlachciami, to byli i koniec, kropka - wybuchła śmiechem.

Więc zdecydowanie zainteresowanie rodzinnymi historiami, herbami, przeszłością zaszczytowało jej w rodzinnym domu. Wybór studiów wydawał się oczywisty. Pod ich koniec razem z grupą przyjaciół doszła do wniosku, że jest nisza, którą można biznesowo zagospodarować. Mieszka w Krakowie - od dawna przyjeżdżała tu wiele osób, także obcokrajowców, żeby szukać swoich korzeni. Tyle że nie wiedzieli, jak się za to zabrać. Poza tym, często nie znali języka.

- A my jesteśmy archiwistami, historykami i mówimy po angielsku, także w innych językach, więc stwierdziliśmy, że dlaczego na tym nie zarabiać, skoro jest popyt na tego typu usługi - tłumaczy Urbańska.

I dodaje, że próba odtworzenia swojego drzewa genealogicznego to jedno, ale coraz częściej zwracają się do nich ludzie, którzy chcą udowodnić, czy też potwierdzić swoje polskie pochodzenie i starać się o polskie obywatelstwo.

- Tylko w Stanach Zjednoczonych żyje ponad dwadzieścia milionów osób, które wiedzą, że mają polskie korzenie, nie mówiąc już o tych, które tego nie wiedzą. Niektórzy chcą mieć pol-

ski paszport, bo to tak naprawdę paszport europejski, a sytuację geopolityczną mamy, jaką mamy - opowiada. W każdym razie na brak klientów nie mogą narzekać.

Firma to jedno; w 2016 roku okazało się, że dla wielu ludzi genealogia to pasja, stąd pomysł Stowarzyszenia Twoje Korzenie w Polsce. W jego ramach organizują warsztaty, wykłady, popularyzując wiedzę na temat genealogii. Napisali dwie instruktażowe książki o tym, jak szukać swoich przodków.

- Skąd takie zainteresowanie swoimi korzeniami, jak pani myśli? - dopytuje.

- Kiedyś było bardzo mocno związane z chęcią potwierdzenia swojej szlachectwa, tej warstwy nobilitującej naszą rodzinę. Z drugiej strony, wiek XX wiąże się z rozwojem nauk psychologicznych, także naszej samoświadomości. Jestem przekonana, że badania genealogiczne służą przede wszystkim dowiedzenia się, kim jesteśmy, zrozumieniem naszej tożsamości, naszego pochodzenia. Wiemy już, bo potwierdziły to badania, że dziedziczymy pewne traumy, że nasza konstrukcja psychologiczna, emocjonalna jest związana także z doświadczeniami naszych przodków - mówi Kinga Urbańska. - Więc poszukujemy dzisiaj swoich korzeni, żeby lepiej zrozumieć siebie i nasze miejsce w życiu, odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego jesteśmy, kim jesteśmy - dodaje.

Jak podkreślają socjologowie, ludzie potrzebują być kimś więcej niż tylko samotnym, anonimowym trybikiem w wielkiej maszynie społeczeństwa. Poczucie przynależności do rodziny i jej historii daje poczucie tożsamości i wewnętrzną siłę. Każdy człowiek powinien wiedzieć, skąd pochodzi i dokąd zmierza.

Ale czasami, o czym wspomniała Kinga Urbańska, przesłanki są bardziej przyziemne: chcemy się dowartościować, udowodnić szlachectwo. Tymczasem, jak możemy przeczytać w „Poradniku Genealoga Amatora”: „Przekazy rodzinne mają to do siebie, że starają się gloryfikować przeszłość rodziny, wyolbrzymiając zasługi i bogactwa przodków, a pomniejszając ich ułomności”.

Jeden z genealogów opowiadał mi kiedyś, jak to przyszedł do niego mężczyzna noszący to samo nazwisko co narodził się w wieszcu, Adam, z prośbą o odtworzenie swego drzewa genealogicznego. Miał zapewne nadzieję, że jest spokrewniony z poetą, ale rzeczywistość okazała się prozaiczna. Genealog dotarł do ksiąg kościelnych, w których tak opisano narodziny pradziada jego klienta: „Przyszedł na świat z dziewczki kościelnej i przyniósł go dziad kościelny”.

No i klops! Francuska psycholog Anne Ancelin Schutzenberger w swojej będącej bestsellerem książce „Ach ci moi przodkowie” pisze, że o ile łatwo jest

utożsamiać się z przodkami, którzy byli ludźmi sławnymi, a przynajmniej dobrymi i utalentowanymi, to odkrycie wśród nich „czarnych owiec” powoduje czasem przerażenie i depresję, a wtedy niezbędna jest pomoc specjalisty. Tak, czasami genealogia bywa niebezpieczna, bo odkrywamy wiadomości, których nie chcielibyśmy znać. Może stąd ta psychogenealogia?

Z pomocą kryminalistycy

Ta chęć poznania swoich korzeni, przodków, pomogła też innej dziedzinie nauki, czego nikt, przynajmniej na początku, nie brał po uwagę. A może i brał, bo przecież genealogi to domorośli detektywi.

W każdym razie miliony Amerykanów, którzy wysyłali do prywatnych firm swoje DNA, żeby dowiedzieć się czegoś o swojej przeszłości, nieświadomie doprowadzili do przełomu w kryminalistyce i tak dzisiaj anonimowemu śladowi na miejscu przestępstwa można przypisać imię i nazwisko.

Śledczym, dzięki publicznym bazom danych DNA, udało się już zidentyfikować wielu morderców, gwałcicieli, przestępców. Jedną z najsłynniejszych spraw, w której kluczową rolę odegrały komercyjne bazy danych DNA, jest ta seryjnego mordercy znanego jako Golden State Killer.

Golden State Killer terroryzował Kalifornię na przełomie lat 70. i 80., miał dokonać 100 włą-

mań, 50 gwałtów i przynajmniej 13 morderstw. Całe dekady pozostawał nieuchwytny. Po latach, a dokładnie w 2016 roku, agenci FBI wznowili poszukiwania przestępcy i wyznaczyli nagrodę w wysokości 50 tysięcy dolarów za informację, które mogłyby przyczynić się do jego złapania.

Dwa lata później ogłosili, że wiedzą, kto jest mordercą i gwałcicielem z Kalifornii, a rozwiązali tę zagadkę, korzystając z darmowej bazy danych GED-metch. Gdy policja umieściła w niej próbki DNA Golden State Killera, znalazła 10 do 20 jego dalekich krewnych. Na tej podstawie stworzono drzewo genealogiczne i wytypowano dwóch podejrzanych. Jeden z nich został wyeliminowany w toku śledztwa - został tylko Joseph James DeAngelo. Pobrano próbki DNA z klamki jego samochodu i chusteczki do nosa znalezionej w koszu na śmieci. Pasowały. 72-letni DeAngelo usiadł na ławie oskarżonych, oskarżono go o osiem morderstw pierwszego stopnia i trzynaście prób uprowadzenia.

Inne śledztwo, które pewnie przejdzie do historii kryminalistyki, to historia sprzed ponad 50 lat. 15 lutego 1974 roku 25-letnia studentka Mary K. Schlais została znaleziona przy drodze w niewielkim miasteczku Spring Brook w stanie Wisconsin. Została kilkakrotnie dźgnięta nożem. Ostatni raz widziano kobietę, kiedy jechała autostopem do Chicago. Jedynym tropem

dla śledczych była czapka znaleziona na miejscu zbrodni, a na niej włosy. Detektywi sprawdzali różne hipotezy, przesłuchiwali świadków - i nic.

Wiele lat później biuro szeryfa hrabstwa Dunn nawiązało współpracę z genealogami genetycznymi z Uniwersytetu Ramapo w New Jersey. Śledczy wystali im włosy znalezione na czapce. Naukowcy wygenerowali z nich DNA, potem przeanalizowali drzewo genealogiczne na popularnych witrynach genealogicznych i przekazali śledczym nazwiska krewnych podejrzanego.

Było to o tyle trudne, że sprawca był adoptowanym dzieckiem, co komplikowało sprawę, ale udało się. Nauka, a konkretnie genealogia, doprowadziła śledczych do 84-letniego Jona Millera w Minnesocie. Miller przyznał, że 50 lat wcześniej zabrał Mary, która łapała autostop, do samochodu, chciał uprawiać z nią seks, a kiedy odmówiła, zabił ją nożem.

Szuflady pełne papierów

Paweł Świetlik dzisiaj nie ma już tyle czasu, co kiedyś. Wiadomo: żona, dzieci, a do tego praca zawodowa, ale cały czas szuka. Ma w domu trzy szuflady dokumentów, które ściągnął z internetu, z archiwów, z różnych instytucji - wszystko musi przejrzeć.

- Najbliższy plan to jest opracowanie historii mojej babci Stasi, z którą mieszkaliśmy w domu rodzinnym mojej mamy. Babcia nie żyje od 2007 roku, była kucharką w Zespole Szkół Rolniczych w Środzie, ale miała bardzo ciekawą historię wojenną - opowiada.

Trafiła na roboty do Niemiec i była na tych robotach cztery dni. - Była dwunastolatka. Trafiła do Bawarii, miała pomagać w gospodarstwie rolnym przy bykach, krowach. Niemiec ją zobaczył i oniemiał. „Co oni mi tu dziecko przysłali?” - otworzył ze zdumienia oczy. Babcia знаła niemiecki, bo w domu rodzice sprzeczali się w tym języku, nie chcieli, żeby dzieci rozumiały. Miała też ze sobą zdjęcie swojego ojca, Józefa Limańskiego, w pruskim mundurze, odznaczonego Krzyżem Żelaznym. Ten człowiek je zobaczył, spojrzął na nią i wsadził w pościąg. „Wróć do domu, bo pewnie mama się o ciebie martwi” - powiedział na odchodne - opowiada rodzinną historię.

Więc teraz przyszedł czas na babcię. Najpierw zbiera dokumenty, potem dojrzewa, jak to mówi, żeby je opisać. Siada do komputera i stuka w klawisze, do każdej historii dołączając zdjęcia. Jego teksty wydrukował już „Średzki Kwartalnik Kulturowy”, „Gazeta Średzka”, „Kronika Wielkopolski”. Myślał o napisaniu książki, takiej historii rodziny, ale to duże przedsięwzięcie. Zobaczymy.

Bydgoszczanka, w wieku 40 plus, zarabia ok. 4000 tys. zł na rękę miesięcznie, a mimo to co roku lata na egzotyczne wakacje, ostatnio była na Dominikanie. Za co? - Faktycznie nie stać mnie na urlop za 12 tys. zł, ale wtedy biorę kredyt i spełniam marzenia. Myślę sobie, żyje się raz, a raty? Jakoś to będzie.

Nie boi się pani kłopotów finansowych? - pytamy.

Odpowiedź: - Boję się, ale z moją pensją, choć ciężko pracuję, to ja mogę co najwyżej pojechać nad Bałtyk na kilka dni. Zasluguję na porządne wakacje, a nie takie z odmrażaną rybą, frytkami smażonymi na starym oleju i goframi napompowanymi chemią. Nie mam męża, dzieci i kredytu na mieszkanie, to nie mogę wziąć rat na swoje potrzeby?

Seniorka liczy wydatki. „Raty? To nie dla mnie!”

Pani Ewa, wdowa po siedemdziesiątce, mieszkanka dużej gminnej miejscowości w powiecie bydgoskim, również ma 4000 zł netto, ale renty rodzinnej po mężu. O Dominikanie nawet nie śni. Kredyt też nie jest jej spełnieniem marzeń.

- Po śmierci męża, dwa lata temu, przeszłam na świadczenie małżonka. Taki wariant był bardziej korzystny, ponieważ moja emerytura wynosiła niecałe trzy tysiące. Gdy żyli mieliśmy dwa dochody, nieźle nam się powodziło. Po jego odejściu zostałam sama z takimi samymi rachunkami, jak płaciliśmy we dwoje. Ba, przez dwa lata wszystko mocno podrożało! Znajoma mi powiedziała: „Ty się ciesz, że masz tyle renty, a co mają powiedzieć wdowy i wdowcy z najniższą emeryturą, która wynosi niecałe dwa tysiące na rękę?”. Oczywiście, mam więcej... - mówi pani Ewa i zaczyna liczyć.

- Czynniki za moje 40-metrowe mieszkanie wynosi 650 zł. Do tego każda rodzina naszej wspólnoty mieszkaniowej, więc i ja, płaci palaczowi 200 zł miesięcznie. Co dwa miesiące muszę kupić butlę gazową za 85 zł i przychodzi rachunek za prąd, ostatnio 390 zł. Wodę podgrzewam bojlerem elektrycznym. Niedawno musiałam go wymienić na nowy za 450 zł, stary był zakamieniony. Do tego muszę zapłacić za telefon i telewizję, razem 200 zł miesięcznie. Na leki wydaję 400 zł. Czasami coś się zepsuje, jak u mnie pół roku temu pralka, a dwa miesiące temu odkurzacz. Aha, jeszcze jedno - przecież trzeba również regularnie kupować jedzenie. I to wszystko z jednego świadczenia z ZUS! Jeśli komuś wydaje się, że cztery tysiące na rękę to luksusy, myli się!

Seniorka nie spłaca żadnych rat i kredytów: - Nie wyobrażam sobie, żeby do moich zobowiązań doszły jeszcze bankowe. Mam kilku znajomych, którzy



Wystarczy jeden finansowy wstrząs, by budżet domowy przestał się spinać. Rachunki większym problemem niż kredyty? Te „zwykłe” rachunki płacimy bardziej opieszale niż raty w bankach i dotyczy to każdej grupy wiekowej

POD KRESKĄ KILKA STÓWEK. TO POCZĄTEK FINANSOWEJ PĘTLI

Ktoś weźmie kredyt, by spędzić wakacje na Dominikanie i drażnić znajomych egzotycznym luksusem, wrzucając fotki na Facebooka. Co z ratami? „Jakoś to będzie”. Inny, przy rosnących rachunkach, nie ma na czynsz i prąd. Listy dłużników pełne są nie tylko lekkomyślnych osób, ale również takich, których dochody nie wystarczają na życie

Agnieszka Domka-Rybka

kupili na raty prezenty dla dzieci i wnuków, pomagają im finansowo. Sąsiadka kiedyś chwaliła się: „Córce dołożyłam do wybieczki na Malte, a wnukowi za to, że zdał świetnie maturę, kupiłam w nagrodę telefon

iPhone - na raty. Cieszę się, że są szczęśliwi, ale naprawdę ciężko mi płacić te raty, a jeszcze sporo ich zostało”. Naprawdę, serdecznie współczuję sąsiadce.

Tak łatwo wpaść w kłopoty, a zaczynają się one niemal nie-

zauważalnie. Kwoty rzędu kilkuset złotych wydają się w zasięgu ręki, czymś, z czym poradzimy sobie „przy następnej wypłacie lub emeryturze”. Jednak to właśnie od takich drobnych sum zaczyna się droga

w dół. Liczby są alarmujące, bo aż 70 proc. wszystkich długów to kwoty nieprzekraczające 5 tys. zł. Teoretycznie łatwe do spłaty, dla wielu osób stają się barierą nie do przejścia.

Scenariusz jest zazwyczaj podobny. Zaczynamy od „brania na głowę” zbyt wielu drobnych zobowiązań: tu kilka rat za nowy sprzęt, tam karta kredytowa, do tego szybka pożyczka. Gdy na tę konstrukcję nałożą się codzienne koszty i bieżące rachunki - czynsz, prąd, telefon, internet, wystarczy jeden wstrząs, jak utrata pracy, by cała budowla runęła. Wtedy zaczynamy wybierać, które rachunki zapłacić, a które muszą poczekać.

Dane z Rejestru Dłużników BIG InfoMonitor obnażają skalę tego zjawiska. Energia, gaz, woda, śmieci - co miesiąc z portfela statystycznego Polaka znikają kwoty od kilkuset do kilku tysięcy złotych na same opłaty stałe. Widać, że rachunki stają się coraz bardziej uciążliwe. Obecnie kłopoty z terminowym płaceniem za media, czynsz, telefon czy alimenty ma już 1,8 mln osób. To oznacza, że co 17. pełnoletni Polak zmaga się z zaległościami pozakredytowymi. Co ciekawe, to właśnie te „zwykłe” rachunki płacimy bardziej opieszale niż raty w bankach i dotyczy to każdej grupy wiekowej - od wchodzących w dorosłość 18-latków po seniorów.

Choć ogólna liczba niesolidnych dłużników powoli spada, to ci, którzy pozostają w rejestrach, toną w coraz większych kwotach. Średnie zadłużenie pozakredytowe na osobę rośnie z roku na rok. W listopadzie 2025 r. wyniosło już 24,2 tys. zł.

Według BIG InfoMonitor, największą grupę osób z problemami finansowymi stanowią ludzie w wieku 35-44 lat - jest ich aż 494 tysiące. Ta grupa zalega ze spłatą na łączną kwotę 11,8 mld zł. Tuż za nimi plasują się 45-54-latkowie, gdzie choć dłużników jest mniej (446 tys.), to wartość ich długu jest jeszcze wyższa i sięga niemal 15 mld zł. Statystycznie problem ma twarz mężczyzny - stanowią oni 65 proc. niesolidnych płatników, a ich zaległości (33,6 mld zł) są trzykrotnie wyższe niż w przypadku kobiet.

- Problem narastających niespłacanych długów dotyka osób znajdujących się często w szczytnej aktywności zawodowej i ponoszących najwyższe koszty utrzymania rodzin - uważa Paweł Szarkowski, prezes BIG InfoMonitor. - Nie jest to już kwestia pojedynczych incydentalnych zaległości, lecz zjawisko koncentrujące się w określonej grupie wiekowej.

Jak wygląda sytuacja seniorów? 25354 zł - to średni dług mieszkańca naszego regionu w wieku 65 plus. Choć to prawie najniższy wynik w kraju, ale nie znaczy, że jest dobrze. Jest mniej zadłużonych seniorów, ale ich długi są wyższe. Czyli ci, którzy już mają kłopoty... wpadają w coraz głębszą finansową pułapkę.

Wzrost kosztów życia, nadal wysoki poziom oprocentowania kredytów i pożyczek oraz inflacja to czynniki szczególnie dotykające osoby 65+, dla których głównym źródłem utrzymania są stałe świadczenia emerytalne.

W szczegółach to wygląda tak: zadłużonych jest 23396 mieszkańców województwa w wieku 65 plus, na łączną kwotę w wysokości 593 178 276 zł, a średni dług na osobę to, jak wspomnieliśmy, 25354 zł.

Skąd te długi? Są to przede wszystkim: nieregulowane w terminie czynsze, zaległe raty kredytów i pożyczek, rachunki za telefon, stare mandaty za jazdę na gapę czy kiedyś niepłacone alimenty.

Komornik: „Wielu długów można uniknąć”

Inna sprawa, że wielu długów można uniknąć. Jak? - pytamy Roberta Damskiego, komornika przy Sądzie Rejonowym w Lipnie. - Opracowałem kiedyś „siedem grzechów głównych” najczęściej popełnianych przez osoby, które wpadają w długi i stają się stronami postępowań egzekucyjnych.

Jednym z największych błędów, zdaniem powiatowego komornika, to nieczytanie umów: - Często dowiaduję się od dłużnika, że umowy nie przeczytał, bo była za długa, a powiedziano mu, że jest „standardowa”. Trudno powiedzieć, czy takie podejście wynika z nadmiernego zaufania, lekkomyślności, czy zwykłego lenistwa. Niemniej faktem jest, że wielokrotnie dopiero na etapie postępowania egzekucyjnego dłużnicy zapoznają się z warunkami udzielonej im pożyczki.

Kolejnym grzechem jest podpisywanie umów, których nie rozumiemy: - Wielokrotnie slyszalem, że dłużnik co prawda umowę czytał próbował, ale tekst był zbyt skomplikowany, więc sobie darował - opowiada Damski.

To również podpisywanie umów z załozeniem, że „jakoś to będzie”. Ponadto niektórzy błędnie oceniają ryzyko. Ignorują oczywiste zagrożenia, jakie wynikają z zaciągania zobowiązań, przy jednoczesnym braku zabezpieczeń.

- Ale najbardziej zdumiewający jest brak szacunku dla własnego podpisu połączony z brakiem poczucia ważności podejmowanego zobowiązania. Wielu dłużników, nawet po zapoznaniu się z warunkami pożyczki i konsekwencjami, błędnie zakłada, że akurat w ich przypadku „jakoś to będzie”. Wielu postępowań egzekucyjnych można by uniknąć, gdyby pożyczkobiorca poświęcił choć połowę energii wykorzystywanej później np. do unikania komornika, na gruntowne zapoznanie się z warunkami umowy oraz na analizę własnych możliwości finansowych i ewentualnego ryzyka - podsumowuje komornik. ©

PIEROGUSZKA Z HONOLULU PODBIŁA WŁOSKĄ OLIMPIADĘ

Wioska olimpijska zakochała się w Pieroguszcze.
Swoją chce mieć też raper Snoop Dog. Pluszaki tworzą osoby
z niepełnosprawnościami z katowickiej spółdzielni Honolulu

Marcin Śliwa

Kiedy w poniedziałek, 9 lutego, świętowaliśmy pierwszy medal na tegorocznych zimowych igrzyskach olimpijskich zdobyty przez pochodzącego z Bielska-Białej 19-letniego Kacpra Tomasiaka, towarzyszyła polskiej ekipie Pieroguszka – maskotka polskiej reprezentacji. Nastroje w polskiej ekipie są bardzo dobre nie tylko ze względu na formę sportową i osiągnięte wyniki. Dobra atmosfera to również zasługa Pieroguszki. A ta robi międzynarodową karierę!

„Polska reprezentacja zabiera ze sobą na IO 2026 pluszowe pierogi. Maskotka staje się hitem. Maskotkę zrobił Luft Katowice i nazywa się Pieroguszka. Luft Katowice to spółdzielnia. Daje pracę i prowadzi warsztaty rękodzielnicze dla osób z niepełnosprawnościami” – przekazuje Tomasz Golonko, reporter Radio Kolor oraz Natemat.pl w serwisie X.

Pieroguszka wywołała prawdziwe poruszenie w wiosce olimpijskiej i zainteresowały się nią nie tylko gwiazdy sportu.

Popularność polskiej maskotki na IO 2026 nabiera rozpędu. Po informacji o tym, że w pluszowym pierogu zakochała się niemal cała wioska olimpijska, swojego pieroguszka chce... sławny raper Snoop Dogg – donosi Tomasz Golonko w mediach społecznościowych.

Pieroguszka powstała w Katowicach

Na terenie Katowic działa lokal o nazwie LUFT. Jest to prospołeczny sklep tworzony przez spółdzielnię socjalną Honolulu, prowadzącą zajęcia rękodzielnicze dla osób z niepełnosprawnościami, podczas których tworzone są Pieroguszki. Pieroguszki to poduszki w kształcie pierogów, wykonane z przyjemnego w dotyku polaru. Mają różne kolory i „twarze”.

– Spółdzielnia socjalna to organizacja, która zajmuje się integracją osób z niepełnosprawnością. W naszym przypadku to głównie osoby z niepełnosprawnością intelektualną. Zatrudniamy 10 takich osób. Razem ze sobą współpracujemy. Nasze działania mają pokazywać, że są to najwyklesjsi w świecie współpracownicy i razem potrafimy tworzyć coś, co ma sens, również ten ekonomiczny – tłumaczy Prze-



Pieroguszki tworzone są przez pięcioosobowy zespół spółdzielni Honolulu, a następnie trafiają na sprzedaż

mysław Sołtysik, prezes zarządu spółdzielni socjalnej Honolulu.

Pieroguszki można kupić w sklepie internetowym LUFT oraz stacjonarnie w kilku punktach na terenie Katowic. W asortymencie można znaleźć m.in. Amoruszki, Ufuszki czy dwustronne Pieroguszki. O kulisach jej wielkiej popularności, a także o tym, jak powstają Pieroguszki, rozmawiamy z Przemysławem Sołtysikiem.

Jak doszło do tego, że Pieroguszka stała się hitem zimowej olimpiady?

Przemysław Sołtysik: Prowadzimy sklep internetowy. Bez konsultacji z nami któraś z zawodniczek po prostu kupiła sobie Pieroguszkę i wystąpiła z nią na olimpiadzie. To było totalnie spontanicz-

ne. Dowiedzieliśmy się o tym z mediów społecznościowych. Później, kiedy już Pieroguszka zaczęła rzeczywiście robić furorę, skontaktował się z nami Polski Związek Łyżwiarstwa i posłaliśmy do Mediolanu, do wioski olimpijskiej, kilka dodatkowych sztuk.

Co Pan poczuł, kiedy wasza maskotka zaczęła zdobywać taką popularność?

Poczułem dużą radość i ekscytację – zarówno u mnie, jak i u całego zespołu spółdzielni, osób z niepełnosprawnością, które robią Pieroguszki. Dzięki temu widzą, że to ma sens.

Rosnąca popularność Pieroguszki wpływa na sprzedaż maskotek?

Jesteśmy już w stu procentach wyprzedani w tym momencie.

Osoby zainteresowane maskotką muszą zatem poczekać?

Na pewno wszyscy muszą się uzbroić w cierpliwość. Będziemy się starali w miarę na bieżąco wrzucać dodatkowe sztuki, ale potrzebujemy czasu. Jesteśmy małą spółdzielnią i potrzebujemy się odrobić.

Skąd wziął się pomysł na Pieroguszkę?

Jako spółdzielnia prowadzimy w Katowicach lokal „Drzwi zwane koniem” i w momencie, w którym w pandemii musieliśmy się zamknąć, poszukiwaliśmy jakiejś dodatkowej możliwości zarobku. Postawiliśmy na sklep internetowy. Podobne wzory poduszek w kształcie pierogów widzieliśmy już wcześniej, więc sam wzór nie jest w stu procentach oryginalny, natomiast my dodaliśmy warianty i nazwę Pieroguszka, którą później zastrzeżliśmy. W ten sposób już od pięciu lat szyjemy Pieroguszki.

Ile trwa przygotowanie jednej maskotki?

Kilkadziesiąt minut. To jest wszystko ręczna robota, ręczne szycie i ekipa osób z niepełnosprawnością wypycha każdą jedną Pieroguszkę.

Ile osób liczy wasza ekipa?

Pięć osób – pracownicy i pracowniczki spółdzielni.



Reprezentacja Polski podczas jednego z pierwszych dni igrzysk. Na pierwszym planie Pieroguszka – maskotka rodem z Katowic

MICHAŁ KACEWICZ: UKRAIŃCY MAJĄ JUŻ ZDECYDOWANIE DOŚĆ TEJ WOJNY

Ale to nie to samo, co chęć zakończenia wojny za wszelką cenę, czyli na przykład za cenę znaczących ustępstw terytorialnych i de facto kapitulacji Ukrainy. 75 proc. Ukraińców jest przeciw oddaniu terytoriów okupowanych, jak mówią sondaże. Oni doskonale wiedzą, co się dzieje na tych ziemiach, kiedy tam postawią swoją nogę Rosjanie. Wiedzą, że dochodzi do anihilacji ludności ukraińskiej. Tak się stało przecież na Krymie po 2014 roku, tak stało się na Donbasie – mówi Michał Kaciewicz, publicysta, redaktor naczelny portalu Centrum Europy

Dorota Kowalska

Michał, jakie nastroje panują na Ukrainie po czterech latach wojny? Co mówią Ukraińcy?

Panują tam złe nastroje. Trudno się dziwić, bo to czwarty rok agresji. Już długość trwania tej wojny przekroczyła okres trwania konfliktu, który na Wschodzie pamięta się najbardziej, czyli II wojny światowej. W przypadku byłego Związku Radzieckiego, to tak zwana wojna ojczyzniana. Niedługo ta wojna przekroczy czas trwania I wojny światowej. Poza tym, w tym roku mieliśmy szczególnie trudną zimę. To była zima rekordowo ciężka z wielu powodów.

Po pierwsze, pogoda była nie-sprzyjająca: mroźna i śnieżna. Po drugie, Rosjanie znaleźli pewien klucz do tego, jak obchodzić ukraińską obronę przeciwlotniczą, czy też jak ją przeciążać, to bardziej precyzyjne sformułowanie. Robią to, niestety, często skutecznie za pomocą falowych, kombinowanych ataków, które są bardzo intensywne, z użyciem kilku-tak zwanych efektorów: dronów, pocisków manewrujących, rakiet balistycznych. Te ataki przeprowadzane są na bardzo dużym obszarze geograficznym. Rosjanie intensywnie atakują na przykład zachodnią Ukrainę, okolice Lwowa, teren blisko polskiej granicy. Co istotne, Rosjanie znaleźli też klucz do tego, w jaki sposób poważnie uszkadzać ukraińskie systemy energetyczne. Ponieważ ukraińska sieć energetyczna oparta jest na regionalizacji, ma słabe

punkty, chociażby podstacje, poszczególne sieci transformatorowe. Rosjanie, skutecznie atakując różnego rodzaju punkty tej sieci, potrafili obezwładnić w dużej części ukraińskie systemy energetyczne. Niestety, celnie uderzają w elektrociepłownię, czyli powodują, że Ukraińcy, zwłaszcza w dużych miastach, nie mają ogrzewania. Zmęczenie wywołują również częste, nocne alarmy lotnicze. Są przyczyną traum, stresu, nerwicy i depresji u dzieci, ale i u dorosłych. W czwartym roku wojny postępuje kumulacja różnych

problemów Ukraińców, wywoływanych przez rosyjską wojnę prowadzoną przeciwko ludności cywilnej. Rosja całkowicie intencjonalnie i w zaplanowany sposób walczy nie tylko z armią ukraińską, ale i z ukraińskim państwem, społeczeństwem. Stara się to państwo i społeczeństwo zniszczyć.

To społeczeństwo ma już dość?

Ma już dość. Ukraińcy mają już zdecydowanie dość. Ale to nie to samo, co chęć zakończenia wojny za wszelką cenę, czyli na przykład za cenę znaczą-

cych ustępstw terytorialnych i de facto kapitulacji Ukrainy. Większość sondaży pokazuje, że tego Ukraińcy nie chcą, ale chcą zakończenia wojny. Na początku zabiegów amerykańskich o to, aby tak się stało, wielu Ukraińców patrzyło na te starania z pewną nadzieją. Oczywiście Trump jest taki jest, już wcześniej było wiadomo, że umizguje się do Putina. Ukraińcy to wiedzieli, ale jednocześnie liczyli na to, że Stany Zjednoczone są po ich stronie. Ten rok doświadczeń z zabiegami dyplomatycznymi

Trumpa pokazuje jednak, że to nie idzie w dobrą stronę.

Ukraińcy to widzą?

Oczywiście, że tak. Panuje przekonanie, że z powodów, powiedzmy, interesownych Trump chce zakończyć wojnę, ale tylko po to, aby zyskać splendor peacemakera, czyli kogoś, kto doprowadzi do pokoju, na tym mu zależy, ale też na dogadaniu się z Rosją, na tym, żeby robić z nią interesy. Ukraińcy doskonale to czytają. Jednocześnie na Ukrainie mają świadomość, że Europa pomaga, ale jednocześnie mają poczucie, że ta europejska pomoc nie idzie w takiej skali i w takim wymiarze, jakby tego oczekiwali. Ukraińcy są rzeczywiście zmęczeni wojną, to bez dwóch zdań. Sytuacja nienormalna, jaką jest stan wojenny, trwająca powiedzmy rok, trwająca dwa lata, była obudowana pewnymi nadziejami. Ukraińcy mieli poczucie, że uda się zatrzymać Rosjan, wygrać w tym sensie, że Rosja będzie zmuszona do oddania terytoriów, które zajęła i kompromis nie będzie z ukraińskiej perspektywy miażdżący, że to nie będzie kapitulacja. Nawet w trzecim roku wojny była taka nadzieja. Ta nadzieja nadal jest, ale ona robi się coraz bardziej, powiedziałabym, realistyczna. Jest coraz większe poczucie, że można wytrzymać jeszcze rok, może i dłużej, ale kraj będzie zrujnowany. I to nie chodzi tylko o budynki, nie chodzi tylko o infrastrukturę, chodzi też o tkankę ludzką, o demografię, krótko mówiąc. Ludzie giną na froncie, ludzie giną w kraju z powodu chociażby gorzej funkcjonującej służby zdrowia, z powodu problemów z energetyką. Ludzie wreszcie wyjeżdżają. Wielu Ukraińców decyduje się na emigrację już nie tylko dlatego, że ucieka bezpośrednio przed zagrożeniem wojennym. Przedstawiciele klasy średniej, wielkomiejskiej, poprzenoszą się do Kijowa, ale też często oni i ci z Kijowa wyjeżdżają za granicę, w tym do Polski. Przenoszą tu swoje biznesy, dochodzą do wniosku, że ta przedłużająca się wojna i perspektywa tego, że będzie trwała długo, powoduje, że oni chcąc normalnego życia i nie mając większych nadziei, że to normalne życie szybko zdarzy się na Ukrainie, organizują je poza ojczyzną.

Na jakie ustępstwa zwykli Ukraińcy byłiby w stanie pójść?

Nie chcą, i to jest całkowicie zrozumiałe na każdym poziomie. 75 proc. Ukraińców jest przeciw oddaniu terytoriów okupowanych, jak mówią sondaże. Oni też doskonale wiedzą, co się dzieje na tych ziemiach, kiedy tam postawią swoją nogę Rosjanie. Wiedzą, że dochodzi tam do anihilacji

ludności ukraińskiej. Tak się stało przecież na Krymie po 2014 roku, tak stało się na Donbasie. Aktywni ukraińscy patrioci, którzy nie chcieli widzieć tam Rosji, byli likwidowani, aresztowani, znikali. Natomiast większa część ludności, ta pasywna, jest albo wywołana, albo rozrzedzana, mówiąc brzydko, czyli po prostu przyjeżdżają Rosjanie z głębi Rosji, często mieszkańcy mułmańskich, kaukaskich republik Federacji Rosyjskiej, i osiedlają się na tych terenach. Ukraińcy dobrze wiedzą, że Rosjanie mają już do perfekcji niemalże opracowaną procedurę zawłaszczania terytoriów i osiedlania na nich swoich ludzi. Takiego właśnie rusyfikowania, mówiąc wprost, tych terytoriów. Ukraińcy wiedzą, że to mogą być ziemie stracone. Dlatego nie chcą uznania, że te terytoria, które obecnie są okupowane, będą częścią Federacji Rosyjskiej.

Więc na co Ukraińcy są gotowi?

Ukraińcy są gotowi w tym momencie, i to pokazują sondaże, żeby uznać, iż te terytoria, które zdobyli Rosjanie, są okupowane, ale nie są częścią Rosji. Na przykład sondaż z końcówki ubiegłego roku mówił, że ponad 70 proc. Ukraińców było za zamrożeniem wojny na obecnej linii frontu pod warunkiem uzyskania przez Kijów solidnych gwarancji bezpieczeństwa. Więc rozwiązanie dyplomatyczne polegające na zawieszeniu broni w tym momencie, z uznaniem obecnej linii frontu za linię demarkacyjną i uznaniem, że status terytoriów okupowanych określony będzie w przyszłości, jest całkiem realistycznym ustępstwem ze strony Ukraińców. Oni jednak w większości uważają, że nie jest możliwe dzisiaj odbicie Doniecka, Ługańska, już nie mówiąc o Krymie. Prawdopodobnie nie jest nawet możliwe odbicie wszystkich terytoriów zajętych przez Rosjan po 2022 roku. Więc oni uznają, że należy się na razie zatrzymać, Rosja powinna się cofnąć, ale o statusie tych terytoriów trzeba rozmawiać i negocjować w przyszłości. Ukraińcy nie chcą też, żeby została zdjęta większość sankcji wobec Rosji, bo wiedzą doskonale, że Rosja po zdjęciu sankcji bardzo szybko odbuduje swój potencjał i w krótkim czasie, pewnie w perspektywie roku, dwóch, trzech, czterech lat znowu będzie gotowa do kolejnej agresji na dużą skalę. Ukraińcy nie chcą też zgodzić się z tymi postulatami, które Rosjanie wysuwają w toku negocjacji, żeby doszło do rozbrojenia armii ukraińskiej, bo znowu wiedzą, że Rosja jest cały czas nastawiona ekspansywnie i w perspektywie paru lat podejmie się agresji. Rozbrojenie się w tym mo-



Kaciewicz: Jest silna presja Donalda Trumpa, a Zelenski zdaje się szukać możliwości przecignięcia w czasie negocjacji, by dotrzeć do jesiennych wyborów do Kongresu w USA, które prawdopodobnie osłabią Trumpa

FOT. HANDOUT/AFPEAST NEWS

mencie przez Ukrainę jest kompletną bzdurą. Wreszcie Ukraińcy nie chcą porzucić myśli o tym, że nie wchodzą do struktur zachodnich.

Na przyjęcie do NATO już jednak nie liczą, prawda?

Ukraińcy chyba wiedzą, że nie jest możliwe, aby teraz doszło do integracji z NATO, ale z kolei Unia Europejska jest dla nich arcyważna. Wejście Ukrainy do Unii Europejskiej jest tak naprawdę przyczyną wszystkich późniejszych zdarzeń, przynajmniej z rosyjskiej perspektywy. Rosjanie twierdzą, że w 2014 roku, kiedy doszło do rewolucji na Majdanie, Zachód dokonał przewrotu na Ukrainie. Tymczasem dla Ukraińców 2014 rok jest ważną cezurą, bo to jest moment, w którym ruszyli do walki zbrojnej przeciwko reżimowi Janukowycza, który ich oszukał. Pokazali, że chcą wejść do Unii Europejskiej, że chcą fundamentalnej zmiany swojej rzeczywistości. Jakiegokolwiek wymuszenie na Ukrainie pokoju na takiej zasadzie, że oddają na zawsze Rosji swoje terytoria, że się rozbrajają, że rezygnują z wejścia do Unii Europejskiej, nie będzie zaakceptowane. Nawet najwięksi realisci na Ukrainie się na to nie zgodzą.

Piszesz w swoim tekście: jakie demony wiszą nad Ukrainą? Na pewno korupcja.

Oczywiście, że tak. Powiedziałbym: endemiczna korupcja, systemowa. To nie jest kwestia łapówek, które są wręczane urzędnikom czy policjantom. To jest cały system podwieszenia gospodarki prywatnej pod chociażby budżet, zamówienia publiczne. To jest system oligarchiczny, który nie polega na tym, że bardzo bogaci ludzie mają udziały w mediach, bankach, przemyśle i rolnictwie. Nie, oligarchowie są zbratani ze światem polityki i kreują ten świat. Finansują wszystkie partie polityczne. I to nie jest tak, że jeden oligarcha finansuje jedną partię, bo najczęściej ci najwięksi finansują w zasadzie wszystkich. Patrząc na to od strony biznesowej, mają udziały we wszystkich partiach politycznych, także tych, których jeszcze nie ma w parlamencie, ale może będą. To jest system, który polega też na tym, że oligarchia swoje największe, najbardziej dochodowe dziedziny gospodarki, które kontroluje, broni przed konkurencją zewnętrzną. To, w jaki sposób niektóre dziedziny przemysłu czy rolnictwa bronią się przed wejściem zewnętrznych graczy, to podstawa tego, w jaki sposób funkcjonuje gospodarka oligarchiczna.

TA ZIMA JEST DLA UKRAIŃCÓW BARDZO CIĘŻKA. ROSJANIE ZNALEŻLI KLUCZ DO TEGO, W JAKI SPOSÓB USZKADZAĆ UKRAIŃSKIE SYSTEMY ENERGETYCZNE

Dzięki temu monopolowi mogą dyktować wysokie ceny wszystkich produktów, bo nie mają konkurencji zewnętrznej, mogą się między sobą dogadywać co do tych cen.

Pewnie między innymi dlatego Ukraińcy chcą wejść do Unii Europejskiej?

Tak, Ukraińcy trafnie diagnozują, że wejście do Unii Europejskiej w jakiejś perspektywie czasu wymusi zmianę tego systemu, on po prostu będzie musiał się zmienić. Oczywiście patrząc na takie państwa jak Bułgaria, Włochy nawet, Grecja, czy nawet cały nasz region widać, że nie wszystko da się zmienić błyskawicznie. Pewne patologie jak korupcja, patologie w polityce cały czas funkcjonują, ale jednak nie na taką skalę. Więc Ukraińcy liczą na to, że wejście do Unii Europejskiej, nacisk ze strony Europy na przeprowadzenie reform po jakimś czasie, być może w perspektywie następnej genera-

cji, następnego pokolenia, zmieni Ukrainę. Oni dobrze wiedzą, że jakiegokolwiek pozostanie w strefie neutralnej między Rosją a Europą albo dostanie się, co najgorsze, pod wpływem rosyjskie, nigdy nie zmieni tego systemu. Ten system się utrwali, ten system będzie kwitł, pączkował i się rozwijał.

Jakie jeszcze demony, patrz: problemy, ma Ukraina?

Na pewno dużym problemem jest demografia, to, o czym już wcześniej wspomniałem, ogromny odpływ siły roboczej, wyjazd milionów ludzi za granicę. Wysoka śmiertelność, niska rozrodczość, wyludnianie się prowincji, wsi i małych miast. Teraz, pod wpływem wojny, następują fundamentalne zmiany w geografii demograficznej. Rosną miasta takie jak Lwów, takie jak Kijów. Siłą rzeczy ludność ciągnie do tych miast, bo tam jest po prostu bezpieczniej. Nawet jeżeli poja-

wiają się problemy z energią, to jednak one są tam szybciej rozwiązywane. No i rynek pracy jest większy.

Wyludnia się prowincja?

Wyludnia się, zwłaszcza wschodnia Ukraina, bo to region, który bezpośrednio sąsiaduje ze strefami walk. Drużbie miasto na Ukrainie przed wojną - Charków, nominalnie nim pozostaje, ale już nim nie jest. Wyludniają się na pewno miasta duże, przemysłowe, istotne dla ukraińskiej gospodarki: Zaporże, Dnipro, Mikołajów, czy nawet Odessa. Przed wojną to była gospodarcza i demograficzna oś Ukrainy od Kijowa do Morza Czarnego. Z kolei teraz rosną miasta na zachodniej Ukrainie, na Zakarpaciu. Tam nieruchomości drożeją, bo jest bezpiecznie, bo jest blisko państw europejskich. Jedyny obwód, gdzie nie ma godziny policyjnej, to właśnie Zakarpacie. Rosnie też zachodnia Ukraina, Lwów, ale też inne miasta na tym terenie, bo oceniane są jako bezpieczniejsze, jako lepsze do życia, jako sąsiadujące bezpośrednio z Polską. We Lwowie rozwija się budownictwo, ceny nieruchomości rosną. Więc mamy swojego rodzaju przesunięcie demograficzne. Dawniej, przed wojną, za duże miasta, minimetropolie uznawane były ośrodki

w centrum, na wschodzie i na południu Ukrainy. Obecnie za bardziej atrakcyjną postrzegana jest zachodnia Ukraina, która wcześniej dla mieszkańców centrum i wschodu była jednak trochę prowincjonalna.

Jest pytanie, czy ci Ukraińcy, którzy wyjechali i już się za-domowili w Polsce, w Niemczech, w USA, Kanadzie, będą chcieli wrócić na Ukrainę?

Nie wiem. Różne badania opinii na ten temat nie są tak naprawdę w stanie zdiagnozować, jak będzie naprawdę. Dzisiaj deklaracje: „wrócę”, „nie wrócę” nie są wiarygodne. Myślę, że ludzie takie decyzje będą podejmowali za jakiś czas. Wszystko będzie zależało od tego, jak długo ta wojna jeszcze potrwa i jak się skończy, jak będzie wyglądała rzeczywistość po tej wojnie. Czy Ukraina będzie stabilna, z tą perspektywą europejską, odbudową, którą wszyscy obiecują, czy przeciwnie, na Ukrainie po wojnie dojdzie do chaosu politycznego, bratobójczej walki o władzę. I dalej: odbudowy żadnej nie będzie, nie będzie perspektywy europejskiej, bo to też, niestety, trzeba brać pod uwagę. Ten czarny scenariusz, w którym Rosja będzie cały czas mieszała, wpływała, próbowała postawić kogoś swojego pionka w Kijowie u władzy - może przecież się zdarzyć.

REKLAMA

0011481147

Droscy Mieszkańcy

Szanowni Kostrzynianie, dzięki wieloletniej współpracy z Wami nauczyliśmy się prawidłowo postępować z odpadami i osiągać satysfakcjonujące poziomy odzysku. Poprzez prowadzoną przez Państwa rzetelną segregację odpadów uzyskaliśmy bardzo dobre efekty. Wysoki poziom świadczonych przez nas usług możliwy był dzięki obopólnym staraniom Państwa i naszej Spółki.

Pomimo tego, że byliśmy gotowi nadal realizować nasze usługi, z przyczyn od nas niezależnych z dniem 28 lutego 2026 roku jesteśmy zmuszeni zakończyć pracę związaną z odbiorem odpadów od osób fizycznych w Kostrzynie nad Odrą.

Pragniemy wszystkim mieszkańcom gorąco podziękować za lata współpracy. Bez Państwa zaangażowania trudno byłoby osiągnąć tak dobry poziom gospodarki odpadami w naszym mieście.

Zachęcamy jednocześnie do korzystania z usług Punktu Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych, w którym w trosce o Państwa komfort i bezpieczeństwo środowiska będziemy jak dotychczas świadczyć usługi odbioru odpadów.

**Życzymy Państwu wszystkiego co najlepsze,
Zarząd i Pracownicy
Miejskich Zakładów Komunalnych Sp. z o.o.**



ZOFIA WICHLACZ: NADAL JESTEM W ŻYCIU WRAŻLIWĄ OSOBĄ I NIGDY SOBIE TEGO NIE ODBIORE

Zachwyciła nas rolą „Biedronki” w „Mieście 44”. Potem oglądaliśmy ją w zagranicznych serialach „Świat w ogniu” i „DNA”. Dziś na ekrany trafia film „Zima pod znakiem wrony”, w którym powraca z ważną rolą na duże ekrany. Nam zdradza, jaka jest cena aktorskiego debiutu, kiedy jest się nastolatką

Patryk Gzyl

Od początku swej kariery grasz generalnie w samych ambitnych produkcjach. Trudno tak kierować karierą aktorską w Polsce?

Zawsze szłam za swoimi wyborami. I to się u mnie przez lata nie zmieniło. A pracuję już trzy-nasty rok. Cieszę się, że zauważyłeś, iż moja filmografia tak wygląda, bo to w sumie jest mój cel - w miarę możliwości grać w ambitnych produkcjach. Oczywiście czasem trzeba coś zrobić, bo musisz zapłacić rachunki. Saram się jednak szukać dobrej jakości, skupiam się na tym i marzę o występach w kinie artystycznym, mniej mainstreamowym. Mam nadzieję, że dalej będzie to szło w tę stronę.

Co decyduje o tym, że ubiegasz się o jakąś rolę?

Kiedy przychodzi zapytanie o casting, to tam jest najczęściej opis projektu. Jeśli po przyjrzeniu się temu, wydaje mi się, że to nie dla mnie, daję sobie jeszcze szansę i czekam na scenariusz. Po jego przeczytaniu, wiem już na pewno czy ta historia i postać, którą mam zagrać, do mnie przemawiają. Interesują mnie wyłącznie złożone, autentyczne bohaterki. I to można od razu wyczuć w scenariuszu czy postać jest ciekawym punktem odniesienia czy tylko tłem opowieści. Jeśli uznaję, że dana bohaterka jest ważna w tej historii, to decyduję się zaważyć o rolę. Dopiero potem patrzę czy dana postać jest bliska mnie, czy raczej jest po drugiej stronie osi.

Generalnie w sferze moich zainteresowań jest kino niezależne i artystyczne.

Co zobaczyłaś w postaci Aliny Wachowiak z „Zimy pod znakiem wrony”, że zechciałaś ją zagrać?

To było bardzo ciekawe, jak ta propozycja do mnie trafiła. Byłam wtedy na drugim roku studiów psychologii. Dzwoni telefon i moja agentka mówi, że jest taki projekt, którego jedną z bohaterek jest... doktorantka psychiatrii. Uśmiechnęłam się - i pomyślałam, że to może być coś dla mnie. W tamtym momencie skupiałam się na studiach i nie zakładałam dużo pracy na planie. Poszłam więc na ten casting i scena, którą miałam do zagrania, bardzo mnie poruszyła. Przyciągnęło mnie również to, że znów będę miała okazję do grania po angielsku, bo bardzo to lubię. Potem jak przeczytałam scenariusz, postać Aliny bardzo mi się spodobała, bo jest niejednoznaczna, skomplikowana, jest w niej dużo różnych emocji. To mocna bohaterka, walczy o swoje, buntuje się, ma w sobie dużo złości. Właśnie takie role mnie przyciągają.

Alina jest zaangażowaną studentką doby stanu wojennego. To pokolenie twoich rodziców. Rozmawiałaś z nimi o tamtych czasach?

Tak. Moja mama też była w 1981 roku taką studentką i bardzo aktywnie brała udział w działaniach antykomunistycznych. Kiedyś opowiedziała mi ciekawą historię. Gdy

studiowała architekturę na politechnice we Wrocławiu, pierwszy wykład po tym, jak przywrócili zajęcia, mieli z wykładownicą, który był totalnym komuchem. I wszyscy założyli na ten wykład... czarne przeciwsłoneczne okulary. (śmiech) On wszedł - i strasznie się wkurzył. Mama miała też przygody rodem z kina sensacyjnego. Raz przewozili ze znajomym powielacz i on z tym powielaczem musiał jechać pociągiem, a ona ścigać się z pociągiem maluchem i odebrać znajomego z dalszej stacji, bo miasto było obstawione milicją. Tego typu historie były w moim domu i to było szalenie ciekawe czerpać z tego.

Alina odważnie angażuje się w sprzeciw wobec stanu wojennego. Jej motywacje były ci bliskie?

Tak, bo te motywacje są uniwersalne. Zawsze przed wejściem na plan myślę nad postacią i zadaję sobie pytanie czym ona żyje. Oczywiście czasy i epoka, w której funkcjonuje, również składają się na jej motywację i trzeba je brać pod uwagę. Ale najważniejsze jest dla mnie, tak czysto po ludzku, czego ona pragnie od drugiego człowieka, czego wymaga od siebie. Między innymi takie pytania zadawałam sobie też co do Aliny.

Film pokazuje, że byli i tacy, którzy współpracowali z totalitarną władzą. Potrafisz ich też zrozumieć?

Studiuję już czwarty rok psychologii i chyba już zawsze

będą we mnie pytania o naturę człowieka. Dlaczego robi takie rzeczy, jakie robi. Kiedy miała-bym do czynienia z osobą, której czyny są moralnie naganne, to po jakimś początkowym szoku, na pewno zadałabym sobie pytania o jej motywację i próbowałabym ją zrozumieć. Na tym polega zawód aktora. Jeśli masz zagrać zabójcę, to musisz sobie zadać pytania o mechanizmy, które nim kierują.

„Zima pod znakiem wrony” to twój kolejny film z reżyserką Kasią Adamik. Łączysz was dobre porozumienie?

Zrobiłam z Kasią jeden z moich pierwszych profesjonalnych projektów. Miałam chyba siedemnaście lat, kiedy zagrałam w jednym z odcinków „Głębokiej wody”, który reżyserowała. Potem był „Amok”, „Pokot” i serial „1983”. Rzeczywiście trochę tego jest. (śmiech) Dzisiaj, kiedy mamy razem pracować, jesteśmy pewne siebie, że to będzie dobra współpraca. Tutaj spodobała mi się rola i scenariusz, a kiedy dowiedziałam się, że to Kasia będzie reżyserować, ucieszyłam się dodatkowo, że to będzie dobra osoba do tego projektu. I tak było.

Twoją główną partnerką jest w „Zimie” ceniona brytyjska aktorka Lesley Manville. To było dla ciebie inspirujące spotkanie?

Bardzo. Spotkałyśmy się już wcześniej na planie brytyjskiego serialu „Świat w ogniu”. W drugim sezonie miałyśmy

duży wspólny wątek - moja bohaterka Kasia jest jej synową i łąduję w jej domu w Anglii w czasie II wojny światowej. To było dla mnie ciekawe spotkanie, bo po obejrzeniu „Nici widmo” byłam absolutnie zakochana w jej aktorstwie. Przy „Zimie” wpadłyśmy więc sobie trochę w ramiona. (śmiech) Leslie chyba ucieszyła się na mój widok tak, jak ja na jej. I było fajnie - bo te nasze wspólne sceny są tym, co najbardziej lubię w pracy z drugim aktorem. Czyli jakimś ważnym słuchaniem siebie nawzajem, jakąś wymianą energii, intymnością. Czymś ważnym do opowiedzenia, gdzie jest czas na emocje, a nie tylko popychaniem akcji do przodu. My mamy w filmie takie momenty i jestem z tego bardzo szczęśliwa.

Powiedziałaś, że ucieszyłaś się, iż będziesz mogła w „Zimie” zagrać po angielsku. Z czego to wynika?

Po moim pierwszym filmie, odezwała się do mnie menedżerka ze Stanów i zmotywowała mnie do pracy nad akcentem po angielsku. Włożyłam więc dużo pracy w to, aby móc w razie potrzeby podkreślić polski akcent lub przeciwnie - wygładzić go. Przy pracy nad „Światem w ogniu” ktoś inny z kolei uczył mnie co zrobić, by ten akcent był mocno polski, ale z załóżkiem brytyjskiego, bo moja bohaterka mieszkała w Anglii. Dlatego też dzisiaj czasem czuję się bardziej organicznie, kiedy mam grać po angielskie niż po polsku. (śmiech) W sumie nie wiem z czego to wynika i będę to w sobie obserwować. Cieszę się jednak, że mogłam w polskim filmie zagrać po angielsku, bo takie scenariusze są rzadkie.

Na twoim profilu na Filmwebie ktoś napisał o twym występie w „Zimie pod znakiem wrony”: „Najlepsza rola Zosi Wichłacz w karierze”. Zgadzasz się z tą opinią?

To oczywiście bardzo miłe. Fajnie by było, gdyby były tylko same takie opinie. (śmiech) Filmweb trochę mnie jednak przeraża, bo jego moderatorzy nie dbają za bardzo o to, aby czyścić sekcję komentarzy z takiego typowego hejtu. A wiadomo - moja rola może się jednej osobie spodobać, a drugiej nie. I wtedy jest gorzej. Jeden komentarz może być taki jak ten, który zacytowałeś, a drugi może mnie całkowicie zmieść z planszy. I nie mam na to żadnego wpływu. Nie skupiam się więc na tym. Ja przede wszystkim chcę mieć czyste sumienie: że pracując nad rolą, zrobiłam wszystko jak najlepiej potrafiłam w tym danym momencie. Jasne, kiedy się zasypia po dniu zdjęć, zawsze się myśli: „Tu bym coś poprawiła. I tu też. Ale nie było czasu”. Mówię sobie wtedy: „Zrobiłaś co mogłaś

w danym momencie”. Nigdy nie było tak, że przyszłam na plan i miałam wywalone. Wtedy bym się czuła źle.

Twoja mama jest architektką, ale pracowała też jako scenografka, a tata jest operatorem filmowym. To było naturalne, że zainteresowałaś się kinem i teatrem?

Na pewno. Byłam często zabierana do teatru, kiedyś kręcono nawet film w naszym mieszkaniu. Wtedy poczułam, że to coś dla mnie.

Tata podobno uświadamiał ci jednak, jak niewdzięcznym zawodem jest aktorstwo. Nie zniechęciło cię to?

Wtedy byłam nastolatką z wielkimi marzeniami. Kto kiedyś próbował do czegoś zniechęcić nastolatkę, to wie, że ona i tak znajdzie sobie drogę, aby zrobić to, co chce zrobić, aby przekonać się na własnej skórze czy ci, którzy ją ostrzegali, mieli rację. I ja też tak zrobiłam.

W wieku dwunastu lat trafiłaś do ogniska teatralnego państwa Machulskich. Już wtedy wiedziałaś, że będziesz chciała zostać aktorką?

Tak. Pamiętam, jak Janek Holoubek przyszedł do nas, aby zorganizować casting do filmu „Rojst”, który chciał wtedy nakręcić. I ja wygrałam ten casting - miałam być tą samą stoletnią bohaterką, która w serialu Netflix'a popełnia samobójstwo. Ale wtedy ten film nigdy nie powstał. Kiedy jednak Janek po latach realizował serial „Rojst”, zaangażował mnie do innej, „dorosłej” już roli. (śmiech) A tamten wygrany casting w ognisku Machulskich utwierdził mnie, że chcę dalej próbować, rozwijać się aktorsko.

Po maturze dostałaś się do stołecznej Akademii Teatralnej i zrezygnowałaś po roku.

„Zdrowie psychiczne jest ważniejsze niż dyplom” - powiedziałeś potem. Było aż tak źle? W tamtym momencie podjęłam taką decyzję - i jej nie żałuję.

Dziś wielu aktorów filmowych robi kariery bez szkoły teatralnej. To już nie ma u nas znaczenia?

Po latach, kiedy poczułam potrzebę jakiegoś rozliczenia, postawiłam sobie pytanie czy nie żałuję, że zrezygnowałam ze studiów. Co by było, gdybym nie zadebiutowała jako nastolatka w dużym filmie, tylko po liceum bez żadnych doświadczeń na planie poszła do szkoły, skończyła ją i zaczęła karierę dopiero w wieku 25-26 lat? I stwierdziłam, że na pewno byłoby zupełnie inaczej. Dziś jednak tego już nie zmienię. Robiłam jak umiałam najlepiej i podejmowałam takie wybory, które wydawały Ciąg dalszy na str. 24

Przed nami II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej

2 marca Teatr Polski w Szczecinie stanie się centrum dyskusji o przyszłości krajowego przemysłu energetycznego. Zapraszamy na II Forum „Energia z Polski - Local First”

- Polska transformacja energetyczna to nie tylko wielkie inwestycje, ale przede wszystkim realna szansa rozwojowa dla krajowych przedsiębiorstw. II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej tworzy przestrzeń, w której polskie firmy, zwłaszcza z sektora MŚP, mogą zdobyć wiedzę, nawiązać relacje i przygotować się do udziału w projektach, które w najbliższych latach będą kształtować gospodarkę i bezpieczeństwo energetyczne kraju. Naszym celem jest łączenie biznesu, administracji i inwestorów wokół idei „Local First” - mówi Zenon Nowak, prezes zarządu Polska Press Grupy.

Silne zaplecze, lokalne kompetencje

Inicjatywa stanowi bezpośrednią kontynuację debaty zapoczątkowanej podczas I edycji Forum we wrześniu 2025 roku w Warszawie. Wówczas zdefiniowano pilną potrzebę stworzenia stałej platformy dialogu między administracją rządową, inwestorami a polskim biznesem. Tegoroczne spotka-

nie w Szczecinie koncentruje się na praktycznym wymiarze idei „Wind Factory of Europe”. Koncepcja ta, zrodzona na Pomorzu Zachodnim, zakłada budowę silnego zaplecza przemysłowego dla energetyki wiatrowej w oparciu o lokalne kompetencje, technologie i zasoby. Jej celem jest rozwój odpornego i konkurencyjnego łańcucha dostaw, w którym polskie firmy odgrywają kluczową rolę zarówno w projektach onshore, jak i offshore. Aktywne włączenie MŚP w realizację projektów wiatrowych oznacza nie tylko nowe możliwości biznesowe i dywersyfikację działalności, lecz także wzmocnienie regionalnych gospodarek, zwiększenie bezpieczeństwa energetycznego oraz realizację celów klimatycznych Unii Europejskiej.

- Pomorze Zachodnie, jeśli chodzi o rozwój energii wiatrowej, jest liderem w kraju. To nie przypadek, bo transformację energetyczną rozpoczęliśmy dwadzieścia pięć lat temu. Dlatego oczekujemy, że Szczecin i Województwo Zachodniopomorskie staną się filarem krajowego zintegrowanego modelu rozwoju przemysłu morskiej energetyki wiatrowej, w którym wszystkie kluczowe ogniwa, od przygotowania i budowy, przez eksploatację aż po serwis i recykling, będą



FOT. ARCHIWUM

Partnerami medialnymi II Forum Dostawców Polskiej Energetyki Wiatrowej „Energia z Polski - Local First” są: StrefaBiznesu.pl, „Głos Szczeciński” i GS24.pl.

miały tu swoje zakorzenienie - podkreśla Olgierd Geblewicz, Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego

Rząd, eksperci, przedsiębiorcy

Wydarzenie będzie poświęcone roli polskich przedsiębiorstw, w szczególności małych i średnich firm, w realizacji wielkoskalowych projektów energetycznych. Bogaty program II edycji Forum pozwoli wyposażać przedsiębiorców w kompleksową wiedzę

niezbędną do wejścia na rynek OZE. Zaplanowano panele tematyczne i praktyczne warsztaty. Minister Energii Miłosz Motyka, prezes zarządu Orlen SA Ireneusz Fąfara a także przedstawiciele Enea SA, PSE SA, ARP SA oraz szczecińskiej stoczni Wulkan będą dyskutować o „Local content jako narzędziu rozwoju polskiego przemysłu”. W dyskusji o „Samorządach jako filarze local first” udział wezmą marszałkowie województw zachodniopomorskiego, lubuskiego

i wielkopolskiego. Tematyczne panele dotyczyć będą również finansowania i zabezpieczenia inwestycji. Udział wezmą w nim przedstawiciele banków PKO BP oraz BGK, a także „Onshore i offshore - skala inwestycji i potencjał polskich firm” z przedstawicielami polskich spółek energetycznych.

Eksperti i praktycy branży szczegółowo omówią znaczenie strategii „Local First”, wskazując konkretne korzyści dla regionalnych go-

spodarek. Uczestnicy wydarzenia zapoznają się z aktualną mapą planowanych inwestycji w energetyce wiatrowej oraz poznają potencjał kontraktowy, jaki te projekty generują dla małych i średnich przedsiębiorstw.

Narzędzia dla polskich firm

Kluczową częścią merytoryczną wydarzenia będzie analiza wymagań technicznych i formalnych. Prelegenci wyясnią zawiłości procedur certyfikacyjnych oraz standardy zakupowe obowiązujące w projektach dużej skali, co pozwoli firmom lepiej przygotować się do postępowania przetargowych. Uzupełnieniem tej wiedzy będzie przegląd dostępnych mechanizmów finansowania transformacji i rozwoju przedsiębiorstw. Forum stworzy unikalną przestrzeń do bezpośrednich rozmów i networkingu pomiędzy przedsiębiorcami, dostawcami technologii, przedstawicielami administracji oraz przedstawicielami największych spółek energetycznych w kraju.

Zapisy na Forum już ruszyły. Osoby zainteresowane udziałem w wydarzeniu mogą przysłać zgłoszenia poprzez formularz rejestracyjny dostępny na oficjalnej stronie organizatora: www.energiazpolski.pl.

Organizator

**POLSKA
PRESS
GRUPA**

Współorganizator

**Pomorze
Zachodnie**

Patronat Honorowy



**Ministerstwo
Aktywów Państwowych**

Partner Strategiczny



Partnerzy Główni



Baltica



Bank Polski



ORLEN
NEPTUN



Partnerzy



BANK GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO



Grupa PFR

Partner Merytoryczny



**strefa
BIZNESU.pl**

GS 24.pl

naszemiasto.

**RADIO
SZCZECIN**

pap
POLSKA AGENCJA PRASOWA

**TVP 3
SZCZECIN**

TVP | info_

Dokończenie ze str. 22

mi się najskusniejsze. Dlatego niczego nie żałuję i czuję się dobrze z tym, jak wygląda moje życie i kariera. Jeśli ktoś patrzy na mnie przez pryzmat tego, że nie mam dyplomu i dlatego nie da mi jakiejś roli – to trudno, biorę to na klatę. Biorę pełną odpowiedzialność za tę decyzję, którą podjęłam mając 20 lat. Nie mam jednak wpływu na to, co inni przez to o mnie myślą.

Poznaliśmy cię wszyscy dzięki roli w pamiętnym „Mieście 44”. Zagranie w takim filmie dla nastolatki przed maturą to było wielkie przeżycie?
Oczywiście. To było wtedy na pewno ponad moje siły. Długo to odchorowywałam. Z perspektywy czasu widzę, że to przyszło za szybko.

Przyznałaś kiedyś, że występ w „Mieście 44” przypłaciłaś terapią. Z czego to wynikało?
A jak mogło się skończyć dla osiemnastolatki to, że przez kilka miesięcy na planie grała skrajnie ciężkie dla niej psychicznie i fizycznie emocjonalnie sceny?

Dostałaś za rolę Biedronki w „Mieście 44” nagrodę dla najlepszej aktorki na festiwalu w Gdyni – chyba jako najmłodsza w jego historii. To nie dało ci skrzydeł?
Niby tak. Ale z perspektywy czasu wiem, że dla nastolatki, którą wtedy byłam, to było strasznie trudne do udźwignięcia. Wręcz niemożliwe. Gdybym teraz dostała taką nagrodę w wieku trzydziestu lat, to zupełnie inaczej bym się czuła. Gdybym teraz zadebiutowała i wkroczyła w świat kina z obecną moją dojrzałością i zasobami dorosłej kobiety. Tymczasem, choć metrykalnie dorosła, byłam wtedy w świecie filmu naiwnym „dzieckiem” z ideałami i weszłam w świat dorosłych, którego zasad kompletnie nie znałam. Próbowałam w tym na bieżąco z doskoku się odnaleźć, ale to był ogrom stresu. Z boku to może tak wyglądać: dostała nagrodę, więc ogromny sukces i uznanie. A niestety, wielokrotnie spotkały mnie przykre sytuacje, kiedy ludzie chcieli sprawić, abym poczuła, że nie zasłużyłam na ten sukces. Miałam dziesięć lat i chłonełam jak gąbka wszystko to, co się wtedy wydarzało, nie umiałam się bronić tak, jak teraz umiem po latach. Taki start za młodu ma więc swoje koszty. To nigdy nie jest takie, jak wygląda z zewnątrz. Teraz jestem jednak już w innym miejscu. Mam trzydzieści lat i cieszę się, że mam dobrą rolę na koncie.

Odkroczyłaś od tej tematyki wojennej był dla ciebie chyba dopiero „Amok”. Powiedziałaś



Zofia Wichłacz: Przede wszystkim chcę mieć czyste sumienie: że pracując nad rolą, zrobiłam wszystko jak najlepiej potrafiłam w tym danym momencie

o tym filmie: „W „Amoku” zagrałam najbardziej złożoną rolę”. Na czym to polegało?
Powiedziałam to pewnie w okolicy premiery tego filmu, kiedy miałam wtedy 21 lat. Od tamtej pory bardzo się rozwinęłam i zrobiłam wiele innych rzeczy. Dzisiaj uważam, że w „Amoku” byłam za młoda i nie do końca sobie poradziłam z tą rolą. Biorę to jednak również na klatę. Takie mam refleksje. Dziś w ogóle nie powiedziałabym o żadnej roli, że była najbardziej złożona w mojej karierze, bo obecnie nie lubię wydawać takich czarno-białych osądów.

W międzyczasie zaczęłaś grać za granicą. Wystąpiłaś w brytyjskim serialu „Świat w ogniu” i duńskim „DNA”. To były bardzo inne doświadczenia niż praca na polskich planach?
Odpowiem anegdotą. To śmieszne, jak czasem są różne cateringi na planie. Najlepsze jednak, jakie w życiu jadłam podczas kręcenia filmu, było we Francji. Miałam tam dwa dni zdjęciowe do duńskiego serialu „DNA”. I trudno opisać ile tam było opcji: obiad z kilku dań, jakieś niestworzone desery, przeróżne smakołyki. Z kolei najgorszy catering był wcale nie w Polsce, gdzie często bardzo dobrze karmiła na planach, ale w Irlandii Północnej. (śmiech) Kręciliśmy w Belfaście – i tego, co tam wtedy podali, po prostu nie dało się jeść. (śmiech)

Mówiąc o tych zagranicznych występach, stwierdziłaś: „Na

wyjazdach czuję większą swobodę”. Co to oznacza?
Tak było. Pracowałam bowiem z ludźmi, którzy nie znali moich polskich dokonań i postrzegali mnie tylko poprzez wygrany casting do roli. Potem na planie udowadniałam ponownie, że jestem dobra i dostawałam od nich feedback, że jest super i że to działa. W Polsce musiałam tymczasem na początku swej kariery walczyć z zaszkladkowaniem mnie jako wojennej, delikatnej i wrażliwej dziewczyny. Oczywiście dalej jestem w życiu wrażliwą osobą i nigdy sobie tego nie odbiorę, ale nie chcę być postrzegana tylko w tym kontekście. Ludzie jednak łatwo szufladkują – to dobrze opisane w psychologii różne mechanizmy, ale wszystkie łączą to, że nasze mózgi po prostu mniej się męczą, kiedy szybko kogoś ocenimy i będziemy się tego trzymać. Tymczasem, kiedy wyjeżdżałam za granicę i pracowałam z ludźmi z różnych stron świata, było to szalenie fajne, bo oni mnie nie rozpatrywali przez pryzmat „Miasta 44”. Przyjmowano mnie z otwartymi ramionami, ponieważ wywalczyłam sobie na castingu rolę i sprawdzałam się na planie. Dobrze nam się pracowało i czułam, że nie jestem oceniana przez żaden wcześniejszy występ.

Te występy w „Świecie w ogniu” czy w „DNA” rozwinęły cię aktorsko?
Zdecydowanie. Ciężko pracowałam na planie tych seriali i włożyłam w nie dużo serca. Dostałam też świetne recenzje

w brytyjskich gazetach. Czułam też prestiż, że robię coś międzynarodowego, o czym wcześniej zawsze marzyłam. Bardzo mnie to rozwinęło.

Walczysz nadal o role na Zachodzie?
Tak. Ale spokojniej już, bo dużo rzeczy mi się przewartościowało. Poszłam też na dzienne studia – wspomnianą psychologię. Nie chcę więc już robić filmu za filmem. Już wiem, że życie nie na tym polega. Mam inne marzenia i aspiracje.

Askał ten pomysł na tę psychologię?
Zawsze mnie to kręciło i z czasem stało się pasją, którą postanowiłam profesjonalnie rozwijać. W pewnym momencie zauważyłam, że jest w social mediach wysyp pseudoekspertów od tej tematyki. Miałam w tym czasie podobne pomysły, choćby na jakiś podcast, ale stwierdziłam, że nie chcę być aktorką, która mówi o psychologii, a w sumie nie zna się na tym, bo nie skończyła studiów i nie ma żadnego dyplomu. Nie interesowało mnie też zrobienie jakiegoś dwutygodniowego kursu, by potem wciskać ludziom kit, że mam prawo mówić o tym, jako ekspertka. Zakałałam więc rękawy i poszłam na studia. Bardzo się teraz z tego cieszę.

Ta wiedza z psychologii przysięga ci się dziś w pracy aktorki?
Oczywiście. W aktorstwie to pewien rodzaj pogłębionego kombinowania psychologicznego przy budowaniu postaci. Ale to generalnie moja nowa

wielka pasja, a nie jakieś przełotne zainteresowanie. I coś, co będę chciała kiedyś robić profesjonalnie. Nie wiem jeszcze dokładnie, co to będzie, bo nie mam tego jeszcze sprecyzowanego. Wiem jednak, zwłaszcza teraz na magisterium z neurokognitywistyki (to specjalność integrująca m.in. psychologię poznawczą, neurobiologię i neuropsychologię), że jest wiele możliwych ścieżek rozwoju po psychologii. Ludziom się kojarzy, że kiedy ktoś skończył takie studia, to musi być terapeutą. Nic bardziej mylnego. Można robić milion innych rzeczy, zwłaszcza po neurokognitywistyce, która jest dla mnie szalenie ciekawa. Odkryłam bowiem, że uczenie się czegoś, co jest dla mnie kompletnie z innej bajki, ma elementy fizyki czy biologii, choć w liceum ledwo zdawałam z tych przedmiotów, to na studiach mnie pasjonuje i daję sobie z tym radę. Rozumiem to i chcę to zgłębiać. Strasznie się więc jaram tym, że mam tę drugą drogę. Oczywiście chcę to łączyć z aktorstwem. Nauka o mózgu bardzo mnie jednak kręci i chcę mieć na nią miejsce w swym życiu.

Nie obawiasz się, że ucierpi na tym twoja aktorska kariera?
Uważam, że kiedy wiesz czego chcesz, to wszystko jest do pogodzenia. Jeśli zakocham się w jakimś scenariuszu, to mogę przecież wziąć dziekanę. A kiedy nie będę miała wystarczająco ciekawych ofert aktorskich – to dokończę na spokojnie studia. Nie żyję więc w ja-

kimś lęku, że teraz coś stracę. Idę za czymś, co mnie kręci i niesamowicie mnie spełnia. Ale chcę dalej grać. I wiem, że we współczesnym świecie będzie to do pogodzenia. Ufam w tej kwestii swojej intuicji.

Zostaje jeszcze życie prywatne. Kiedyś powiedziałaś: „Trzeba dbać o życie poza planem, bo ono jest równie ważne co praca”. Jak sobie z tym radzisz?
Dziś powiedziałabym, że życie prywatne jest absolutnie ważniejsze niż praca. Tak mi się to przewartościowało.

Co spowodowało to przewartościowanie?
Nie chcę wchodzić tu w szczegóły, bo to już jest moje życie prywatne. (śmiech) Ale mogę ci powiedzieć, że kiedy nad sobą pracujesz, a jestem akurat w procesie rozwojowym, w terapii, mam trzydzieści lat, robię różne podsumowania, to zauważa się, że kiedy za dużo się pracuje, to nie ma się czasu na to czy na tamto. Jeśli robiłabym teraz film za filmem, to nie poszłabym na studia, nie zbudowałabym związku, nie miałabym czasu dla siebie, na swoje mniejsze pasje, czy nawet na długi spacer z psem. Złapałam się na tym w odpowiednim momencie już dobrych kilka lat temu. Jako trzydziestolatka wiem już z doświadczenia, że nie chwycę wszystkich srok za ogon, bo to niemożliwe. Moje priorytety na dziś to moje życie osobiste, moja rodzina, dopiero potem studia i praca.
ROZMAWIAŁ PAWEŁ GZYL



WYPASIONE

Gorrrące nowości (nie tylko) na zimę.



1 litr

mleko smakowe



mlekovita



mlekovita_pl



www.mlekovita.com.pl

JAK NYLONOWA SZCZOTECZKA DO ZĘBÓW ZREWOLUCJONIZOWAŁA STOMATOLOGIĘ

24 lutego 1938 r. amerykański potentat chemiczny DuPont zaprezentował publicznie cud medycyny: szczoteczkę do zębów z nylonowym włosiem

Mariusz Grabowski

Szczoteczki natychmiast stały się przedmiotem pożądania czyściochów. Dwa lata później firma powtórzyła sukces, wprowadzając na rynek nylonowe pończochy. Za oba wynalazki odpowiadał Wallace Carothers, szef zespołu chemików DuPont.

To przełom!

Nylon jest polimerem syntetycznym, co oznacza, że składa się z długich łańcuchów powtarzających się jednostek. Charakteryzuje się wysoką odpornością na ścieranie, rozciąganie oraz szybkim schnięciem. Użyto go do przedmiotów codziennego użytku, bowiem stanowił doskonałą syntetyczną alternatywę dla drogiego jedwabiu. W stomatologii i pończosznictwie sprawdził się wręcz doskonale.

Co ciekawe, sam Carothers nie do końca był przekonany o sensowności wykorzystania nylonu do higieny zębów. Uważał, że szczoteczki z naturalnego włosia, najczęściej dzika, choć nietrwałe i łatwo ulegające zawilgoceniu i pleśnieniu, nie powodują niszczenia powierzchni zębów jak nylon. Nie doczekał zresztą publicznej prezentacji swojego wynalazku - chorował na cyklofrenię i w przebiegu fazy depresyjnej popełnił samobójstwo wypijając w 1937 r. roztwór cyjanku potasu.

Pierwsze szczoteczki otrzymały nazwę „Dr. West's Miracle-Tuft”, miały charakterystyczne kolorowe uchwyty i szybko okazało się, że ich nylonowe włókna są gładkie i mniej abrazyjne (w dentystyce tym terminem określa się ścieranie), co znacząco zmniejszyło ryzyko uszkodzeń dziąseł, otarć i krwawienia w porównaniu do tradycyjnych szczoteczek. Firma DuPont zastosowała zmasowaną reklamę nowego produktu: szczoteczki rozdawano na ulicach, reklamowano w radiu i prasie. Do ich stosowania przyczyniali

się publicznie celebryci, choćby Humphrey Bogart.

Z dzisiejszej perspektywy dobrze widać, że tania, ogólnodostępna szczoteczka była miłym krokiem w pielęgnacji zębów. Przyczyniła się w ogromnym stopniu do promocji nawyków higienicznych Amerykanów. Co więcej, w czasie II wojny światowej nylonowe szczoteczki stały się elementem osobistego wyposażenia żołnierzy amerykańskich, co po wojnie przyczyniło się do rozpowszechnienia nawyków higienicznych wszędzie tam, gdzie dotarli w trakcie działań. Ale już np. do Polski trafiały one w ramach pomocy UNRAA, wraz z lekami, żywnością i odzieżą.

Zacytujmy fragment instrukcji amerykańskiego Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej rozsyłanej na przełomie lat 30. i 40. do lekarzy-stomatologów, sprzedawców akcesoriów i aptekarzy „Szczotka do zębów zbudowana jest z główki, szyjki i rączki (rękojeści). Główka powinna być zaokrąglona, a swoim zasięgiem obejmować od dwóch do trzech zębów. Ważna jest też jej szerokość - nie powinna przekraczać 3/4 cala, ponieważ gwarantuje to dotarcie do trudno dostępnych, policzkowych i językowych powierzchni trzonowców. Szyjka szczoteczki musi być elastyczna, aby uniemożliwić wywieranie zbyt dużego nacisku. Rączka powinna być antypoślizgowa, aby wygodnie leżała w dłoni pacjenta”.

Dodajmy do tego przekonanie - nieoczywiste jeszcze na początku XX w. - że zadbane zęby są oznaką zdrowia i estetyki. Ma rację Fabian Obzejta, publicysta Pisma Okręgowej Izby Lekarskiej w Łodzi „Panaceum” piszący, że „pielęgnacja jest o tyle łatwiejsza, że mamy już dawno za sobą takie sposoby dbałości o zęby, jak płukanie jamy ustnej moczem, spożywanie chleba nadgryzionego przez myszy czy używanie pa-

TANIA SZCZOTECZKA BYŁA MIŁYM KROKIEM W PIELĘGNACJI ZĘBÓW. PRZYZCZYNIŁA SIĘ DO PROMOCJI NAWYKÓW HIGIENICZNYCH AMERYKANÓW

sty w słoikach zastąpionej skutecznie w roku 1897 pierwszą pastą w tubach marki Colgate” (nr 11 z 2002 r.).

W każdej łazience

Owa społeczna recepcja przekonania, że warto dbać o stan uzębienia, a co za tym idzie masowa sprzedaż szczoteczek, past do zębów, wykałaczek, nici dentystycznych i innych akcesoriów, miała wymierny skutek w rozwoju stomatologii w formie organiza-

cyjnej. Choćby w zjawisku pojawienia się gabinetów stomatologicznych w dzisiejszej postaci.

Pierwsze tego rodzaju miejsca zaczęły powstawać na przełomie XIX i XX w., zastępując doraźną pomoc felcerów i lekarzy domowych. Jednak z danych wspomnianego już amerykańskiego Departamentu Zdrowia wynika, że w pierwszych latach XX w., w dwóch największych miastach Wschodniego Wybrzeża - No-

wym Jorku i Waszyngtonie - funkcjonowały oficjalnie jedynie 34 punkty doraźnej pomocy dentystycznej, które można by nazwać gabinetami. W latach 30. było ich już ok. 190, a w 40., czyli w momencie początku boomu na higienę wywołanego szczoteczkami nylonowymi - już ponad 12 tys.

Co więcej, owe gabinety nie były już tylko miejscem wyrwania bolących zębów, ale w coraz większym stopniu leczenia zachowawczego. Świadczy to, że nawyki higieniczne - przede wszystkim codzienne mycie jamy ustnej przynajmniej raz dziennie - przyniosły wymierny efekt. Pod koniec lat 40. większość Amerykanów przyznawało się, że posiada własną szczoteczkę do zębów, a prawie wszyscy, że szczoteczka do zębów jest obecna w ich domowej (zwykle rodzinnej) łazience.

Tu dygresja: olśniewające białą zęby można uzyskać z dnia na dzień, niejako na skrót. Już w 1928 r. dr Charles Pincus, zwany „dentystą hollywoodzkich gwiazd”, stworzył pierwsze licówki, aby poprawić uśmiech aktorów na potrzeby ról. Licówki, ceramyczne, kompozytowe lub porcelanowe do dziś mają swoich zwolenników, ale nawet one wymagają tego, żeby wyposażenie swojej jamy ustnej utrzymywać w codziennej czystości. Właśnie szczoteczką.

Czy szefowie DuPont mogli przewidzieć, że tzw. American Smile stanie się z czasem kulturowym standardem, w którym śnieżnobiały, idealnie prosty uśmiech jest postrzegany jako symbol sukcesu, zdrowia, wysokiego statusu społecznego i atrakcyjności? Tego nie wiemy, na pewno jednak interesowali się biznesową stroną swoich wynalazków.

Wedle dostępnych publicznie danych firma kontroluje znaczącą część rynku specjalistycznych nylonowych włókien do szczoteczek, a ich sztandarowy produkt - DuPont

Tynex® jest niezmiennie standardem w branży stomatologicznej. Innymi słowy świat zalany jest firmowym nylonem, choć nie wiadomo ile z całej jego puli trafia akurat do produkowanych szczoteczek. W 2024 r. przychody całej korporacji, produkującej m.in. kevlar, tyvek i teflon, wyniosły ponad 12 mld dolarów.

Spójrzmy szerzej. Według danych z 2022 r. amerykański rynek klasycznych (czyli nylonowych) szczoteczek do zębów wyniósł blisko siedem mld dolarów. W tym samym 2022 r. rynek opieki stomatologicznej, obejmujący szczoteczki do zębów, pasty do zębów, płyny do płukania ust i inne produkty tej branży, miał szacunkową wartość wynoszącą 35,5 mld.

I jeszcze jedno dane: w 2022 r., tylko w Stanach, wyprodukowano prawie pięć mld manualnych szczoteczek do zębów. To tak oszałamiająca ilość, że niektórzy producenci, co bardziej troskliwi ekologicznie, deklarują opracowanie ich biodegradowalnej wersji, np. z drewnianym uchwytem i z... naturalnego włosia. Co tylko potwierdza zasadę, że historia kołem się toczy.

Światło i jony

Jest jeszcze jeden daleko sięgający efekt rewolucyjnego wynalazku Wallace'a Carothersa - to lawina kolejnych rodzajów szczoteczek do zębów, czasem zupełnie fantastycznych. Niemal równocześnie ze szczoteczkami z nylonu powstawały bowiem prototypy szczoteczek elektrycznych. Pierwowzór stworzono tuż przed wybuchem II wojny, a do seryjnej produkcji trafiły pod koniec lat 50. W 1961 r. powstała ich pierwsza bezprzewodowa wersja.

Pierwotnie dedykowana była osobom, które mają problemy z dokładnym czyszczeniem zębów, czyli dzieciom i osobom niepełnosprawnym. Jednak ze względu na łatwość obsługi i wygodę weszła do powszechnego użycia, a w chwili obecnej ma już swoje modyfikacje w postaci szczoteczek sonicznych (dźwiękowych) czy magnetycznych.

A w kolejce czekają urządzenia, których zasada czyszczenia zębów opiera się na tzw. technologii jonowej. Światło UV generowane jest przez lampę UV LED, na promieniowanie reaguje płytka tytanowa umieszczona w uchwycie szczoteczki, a emitowane ujemnie naładowane jony przyciągają bakterie płytki nazębnej do główki szczoteczki. Pozwala to - wedle zapewnienia inżynierów od stomatologii - na niemal całkowite wyeliminowanie bakterii streptococcus mutans, odpowiedzialnych za rozwój próchnicy. Dodatkowo technologia jonowa pozytywnie wpływa na stan zdrowia dziąseł, ponocznaczając poprawiając ich kondycję.



Jedna z pierwszych reklam nylonowej szczoteczki. Otrzymały one nazwę „Dr. West's Miracle-Tuft” i miały charakterystyczne kolorowe uchwyty

FOT. DOMENA PUBLICZNA

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne lub nekrolog?

Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

ZIELONA GÓRA al. Niepodległości 25
czynne pon.-pt. 8.00-15.00
tel. 510 026 518
e-mail: bo.gazetalubuska@polskapress.pl

NASZE BIURA OGŁOSZEŃ

GORZÓW WLKP. ul. Sikorskiego 111 (Park 111, II p.)
czynne pon.-pt. 8.00-16.00
tel. 510 026 986
e-mail: bog.gazetalubuska@polskapress.pl

SŁUBICE ul. T. Kościuszki 6/1
czynne pon.-pt. 8.30-16.30
tel. 95 75 80 760
e-mail: bos@gazetalubuska.pl

RUBRYKI I PODRUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH

NIERUCHOMOŚCI	• mieszkania - sprzedam • mieszkania - kupię • mieszkania - do wynajęcia • mieszkania - wynajmę • mieszkania - zamienię • domy - sprzedam • domy - kupię • domy - do wynajęcia • domy - wynajmę • domy - zamienię • lokale użytkowe - sprzedam • lokale użytkowe - kupię
MOTORYZACJA	• elektronika, komputery • telefony • car audio • antyki • kolekcjonerstwo, sztuka • jubilerstwo • filmy, muzyka • foto, książki • instrumenty muzyczne • lombardy • sport i rekreacja • maszyny urządzenia • materiały budowlane • materiały opałowe
HANDLOWE	• AGD • RTV

FINANSE BIZNES	• zamienię • motofinanse • motousługi • inne
NAUKA	• szkoły • kursy/szkolenia

PRACA	• języki obce • korepetycje • inne
ZDROWIE	• apteki • pomoc całodobowa • chirurgia • ginekologia • interna • neurologia

USŁUGI	• pediatria • psychologia • psychiatria • stomatologia • urologia • inne specjalizacje • przychodnie, kliniki • laboratoria • zabiegi • opieka • sprzęt medyczny • uroda • inne
--------	---

TURYSTYKA	• instalacyjne • biurowo - projektowe • komputerowe • krawiectwo • montażowe • ogrodnicze • porządkowe • przeprowadzki • reklamowe • stolarskie • radio taxi • transportowe • rozrywka • uroczystości • zabezpieczające • inne
-----------	--

KOMUNIKATY	• agroturystyka • kraj • świat • biura podróży • obozy i kolonie • wycieczki • przewozy • inne
ZWIERZĘTA	• lecznicze • usługi • inne
MATRYMONIALNE	• różne

ŻYCZENIA/PODZIĘKOWANIA	• dania na telefon • usługi • inne
ROLNICZE	• maszyny rolnicze • ogrodnictwo • płody rolne • zwierzęta hodowlane • inne
TOWARZYSKIE	• usługi kamieniarskie • usługi pogrzebowe

ŻYCZENIA/PODZIĘKOWANIA	• dania na telefon • usługi • inne
ROLNICZE	• maszyny rolnicze • ogrodnictwo • płody rolne • zwierzęta hodowlane • inne
TOWARZYSKIE	• usługi kamieniarskie • usługi pogrzebowe

Z głębokim bólem i żalem zawiadamiamy,
że 18 lutego 2026 r. w wieku 80 lat
odszedł od nas nasz
najukochańszy Mąż, Ojciec, Teść i Dziadek

śp
Tadeusz Grondys

Pogrzeb odbędzie się 23 lutego 2026 r. o godz. 12.00
na Cmentarzu Komunalnym Starym
przy ul. Wrocławskiej w Zielonej Górze.

Pogrążona w żałobie
Rodzina

Z głębokim smutkiem zawiadamiamy, że 17 lutego 2026
roku, po długiej i wyczerpującej chorobie odeszła od nas



*Ukochana Żona, Matka i Babcia, przez wiele lat związana
z oświatą jako polonistka oraz wicedyrektorka Szkoły
Podstawowej nr 12 w Zielonej Górze. Pozostanie w naszej
pamięci jako osoba o silnym charakterze, wierna zasadom i
oddana rodzinie oraz pracy.*

Alicja Chulist

lat 78

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
dnia 23 lutego 2026 r. o godz. 11:20 w kaplicy na starym
cmentarzu komunalnym w Zielonej Górze

W smutku pogrążona
Rodzina



Wspomnienia. Te najważniejsze...

Wspomnij bliskich. Zapal im świeczkę.
Sprawdź na nekrologi.net
i gazetalubuska.pl/nekrologi

INFORMATOR POGRZEBOWY

KAMIŃSCY Zielona Góra, ul. Kościelna 4, Zyty 19,
tel. **693 424 440; 68-3230509** oraz Polkowice ul. Spokojna 1; Le-
gnica ul. Chojnowska 7; Szprotawa ul. Kościuszki 31A
przewóz zmarłych 24 godz., kompleksowa organizacja
pogrzebów oraz transmisja pogrzebu online.

MIEJSKI ZAKŁAD POGRZEBOWY
Zielona Góra, Masarska 13,
tel. **68-3202235, 68-3202232**, przewóz zwłok,
kompleksowa obsługa pogrzebów **601798365** całą dobę.

PRO MORTE Gorzów Wlkp. ul. Żwirowa 19E, tel. **95-7810083**
Organizacja Pogrzebów, Pogotowie Pogrzebowe 24 h.



ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Wójt Gminy Skąpe

działając na podstawie art. 35 ust. 1 ustawy
z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami
(Dz. U. z 2024 r. poz. 1145 z późn. zm.) informuję, że na tablicy
ogłoszeń w Urzędzie Gminy Skąpe oraz na stronie internetowej
Urzędu – <https://samorząd.gov.pl/web/gmina-skape>
zamieszczono wykaz nieruchomości gminnych przeznaczonych
do dzierżawy.

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ każde Mieszkanie lub Dom
z dowolnym problemem prawnym,
też Udziały, możliwa zamiana tel.
513474366, www.lcf.com.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

PRACA dla mężczyzny w firmie
ogrodniczej. Wymagane prawo jazdy
kat. B. TEL. 602-268-058

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

REMONTY-SZYBKO. Tel. 724-083-883

MONTAŻOWE

OKNA, bramy drzwi, roletki,
naprawy okien, montaż PlastMat. Tel.
68 470 19 70, Wrocławska 35.

OKNA- rolety. Montaż- regulacja-
naprawa. Ptasia 32/7B, tel.
535 530 555

REKLAMA 0011475379

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL
**KASACJA
POJAZDÓW**
64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)
500 545 500

REKLAMA

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. **600 609 606**
Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy
Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

Finanse biznes

KREDYTY, POŻYCZKI

FUNDUSZPOŻYCZKOWY oferuje
pożyczki do 300 tys. zł na 60m-cy,
oprocentowanie od 5,30%, bez
żadnych dodatkowych opłat i prowizji
na cele związane z rozwojem
działalności gospodarczej na terenie
Województwa Lubuskiego. Źródło
finansowania: Europejski Fundusz
Rozwoju Regionalnego UE i Zarząd
Województwa Lubuskiego Tel.
kontaktowy +48 600 052 223,
k.joachimczak@ecdf.pl

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic -

**Wielkanoc od 1100 do
1400zł. Możliwość dowozu
501-642-492**

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski z jajem dowóz
600539790

REKLAMA

0011459133

Krzyżówka panoramiczna

mieczarski
płyn

przegrody
w stajni

bezsil-
ność,
niemoc

Mailer
suma
pie-
niędzy

ubiór
jawiłki

czasem
reto-
ryczne

Chan,
aktor

króle-
wska
faworyta

płynie
z Ystad
do Swi-
nouljścia

rola,
grunt

część
meczetu

groźny
car
rosyjski

orszak,
asysta

staro-
żytno
państwo
semi-
ckie

opera
Verdiego

zjawia,
mara

np.
„Lion”

serdu-
szko
w talii

kwiat
ozdobny

miasto
w Szwa-
carii

miejsce
kleski
wojsk
Hanni-
bala

osła-
bienie
niewia-
doma

świę-
tynia
bud-
dyjska

w
wazonie
pierożek
z Francji

słodki
ziem-
niak

sekre-
t
poliszy-
nela

polska
kawa
zbo-
żowa

duże
miasto
w
Serbii

miasto
stałe
stano-
wisko
pracy

kres
biegu

plywa
na
tratwie,
flisak

trudni
się
gotowa-
niem

Miron
Białosze-
wski
miasto
nad
Wartą

dawny
radny
miejski

10

14

3

2

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Uśmiechnij się!

Przychodzi baba do lekarza:
– Co pani dolega?
– Nic.
– A jakie pani ma objawy?
– Nie mam żadnych.
– To, po co pani przyszła?
– Bo mogę ...

Krzyżówka A-Ż
Každy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprze-
dzającą określenie. Miejsce
wpisywania – do odgadnię-
cia. Litery w polach z kropką,
czytane rzędami, utworzą
rozwiązanie.

- A) amerykański prom kos-
miczny (8).
- B) największe miasto Dolnej
Bretanii (5).
- C) gryzoń z dużymi torbami
policzkowymi (6).
- D) kobieta otaczana kultem
przez rycerza (4,5).
- E) czynny wulkan w Europie (4).
- F) dawna nazwa zająca (5).
- G) ktoś zdolny do nieoczeki-
wanych wybryków (7).
- H) strunowy instrument szar-
pany (5).
- I) portal konkurujący z Wirtu-
alną Polską (7).
- J) unika spożywania mię-
snych potraw (6).
- K) napój alkoholowy wyde-
stylowany z wina (6).
- L) kwiat bogini Izdy (5).

Ż

A

Ł) długa deska do siedzenia
dla kilku osób (4).

M) pojazd podobny do moto-
roweru (5).

N) przyjęta zasada, reguła (5).

O) miejsce składania ofiar kul-
towych (6).

P) bezwonny gaz palny (6).

R) przedmiot materialny (5).

S) kraina historyczna w połud-
niowo-wschodniej Francji (8).

T) długi ogon sukni (4).

U) startuje w ulicznym mara-
tonie (9).

W) duża, drapieżna jaszczurka
z wyspy Komodo (5).

Z) rzecz zabezpieczająca
spłatę długu (6).

Ż) instrument perkusyjny; mu-
zyczne talerze (4).

Krzyżówka z hasłem

1 2 3 4 5 6

17 8 7 10 11 10

8 9 12 13 13

12 16 1 13

14 11 15 16 19 20 21

5 14 18 19 20 21

22 14 23 3 4 15

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 17 utworzą rozwiązanie – przysłowie angielskie.

Poziomo:

1) uchwyt narzędzia,
7) pisemne wyróżnienie,
8) kwadratowy w równaniu,
9) stały etat,
12) muzyczne „naczynia”,
13) miejsce pracy maklera,
15) willa-muzeum w Zakopanem,
17) szef, przełożony,
18) Japonka lub Chinka,
22) naczynie na owoce,
23) dęty instrument drewniany.

Pionowo:

1) krótki okres czasu,
3) figura geometryczna,
4) zasiali górale,
5) w parze z omegą,
6) Bovary lub Thompson,
9) uskrzydłony koń,
10) osłaniana kurtyną,
11) ptak z czubkiem,
14) przerwa w podróży konno,
15) michałek w ogrodzie,
16) chorobliwy omam,
19) włókno na worki,
20) żałobny utwór poetycki,
21) dominuje w powietrzu.

Wymóg, przy-
czyna

przy-
drożny
hotel

koła
w
oczy

skwarki
do
pierogów

graniczy
z
Holandią

WIRÓWKA
PANORAMICZNA

stan
z
Topeką

w
orszaku
pana
młodego

żartob-
liwie
o małżeń-
stwie

usuwany
brzytwą

podatek
pośredni

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie – tytuł filmu.

Duet jolek

S

A

M

I

S

W

O

I

12 11 7 14 2 6 9 10 4

**W diagramach ujawniono niektóre litery. Litery z pól ponu-
merowanych od 1 do 15, utworzą rozwiązanie.**
W przypadkowej kolejności:

- rdzawobrunatny ptak o ter-
koczącym głosie
- imię Dyźmy, powieściowego
karierowicza
- koń o rudobrzazowej sierści
- wynajem statku lub samolotu
na określony kurs lub czas
- dzielnica Rudy Śląskiej
- schronisko dla wodniaków
- chroni oko
- region z Małymi Antylami
- tatarski koń
- włoska potrawa z ryżu
- dawny taniec polski

Logogryf

1 2 3 4 5

1 2 3 4 5

1 2 3 4 5

1 2 3 4 5

1 2 3 4 5

Litery w polach z kropką czyta-
ne rzędami, utworzą rozwiąza-
nie: tytuł polskiego filmu.

1) „... bezdomni” Stefana Że-
romskiego,
2) wir powietrzny z okiem,
3) sklep z lekami,
4) artyzm, mistrzostwo,
5) kościelny instrument.

13 10 1 4 3

11 12

14 9

5 7 8 2 6

Szyfr

**Litery z pól od 1 do 14 utwo-
rzą rozwiązanie: imię
i nazwisko aktora.**
Poziomo:
13) boks dla malca,
5) dawny statek, arka.

Pionowo:
13) odgłos z chlewika,
4) konkuruje z „Zetką”.

Krzyżówka

1 2 3

7 1 11

4 12 2 8 10

5 9 10

6 5 13 3

7 4 6

**Litery z pól ponumerowanych
od 1 do 13 utworzą rozwiąza-
nie – imię i nazwisko aktorki.**
Poziomo:
1) drag z hakiem,
4) szybki pies,
5) proszek do prania,
6) ... Sarandon, aktorka,
7) duże miasto w Turcji.

Pionowo – polskie aktorki:
1) Magdalena („Sztuka ko-
chania”),
2) Dorota („Bez miłości”),
3) Agnieszka („Klan”).

Rozwiązania

krzyżówka panoramiczna:
Chorować bezobjawowo:
włowska potrawa z ryżu
tatarski koń
region z Małymi Antylami
chroni oko
schronisko dla wodniaków
rdzawobrunatny ptak o ter-
koczącym głosie
Uma, aktorka z USA
dzielnica Rudy Śląskiej

eprasa.pl 5b3037045c

ŚŁOWNIK: ARBAI ETA BIIIRETA ONON RAFINER

ROZWIĄZANIE: ZYTIE TO NAJWIĘKSZY BAL MASKOWY.

Cztery bramki Gordona w Azerbejdżanie. Włoskie kluby w trudnej sytuacji

Bartosz Głab
redakcja@polskapress.pl

PIĘKA NOŻNA. Mimo braku wielu europejskich gigantów, sporo działo się w pierwszych meczach fazy play off Ligi Mistrzów.

Kanonady strzeleckie odbyły się w Azerbejdżanie i Turcji, w trudnej sytuacji przed rewanżami są przedstawiciele Serie A. Co z Polakami? Zagrała trójka, ale...

Największym wydarzeniem pierwszych meczów fazy play-off Ligi Mistrzów były cztery gole Anthony'ego Gordona w meczu Karabach Agdam - Newcastle United. Przedstawiciel Premier League rozbił na wyjeździe zespół z Azerbejdżanu aż 6:1 i rewanż prawdopodobnie będzie tylko formalnością. W bramce drużyny pokonanej stał Mateusz Kochalski, który mimo wpuszczenia tylu goli zagrał naprawdę niezłe spotkanie. Polak wielokrotnie popisywał się znakomitymi interwencjami i gdyby nie on, przyjeźdni mogliby mieć na koncie nawet dwucyfrową liczbę goli.

W znacznie lepszym nastroju spotkanie zakończył angielski napastnik Anthony Gordon, który wskoczył na pozycję wicelidera klasyfikacji strzelców Ligi Mistrzów oraz wszedł do niezbyt szerokiego grona zawodników, którzy zdobyli 4 bramki w jednym meczu tych prestiżowych rozgrywek. Tutaj należy przypomnieć, że tego wyczynu dwukrotnie zdołał dokonać Robert Lewandowski: 24 kwietnia 2013 roku w meczu Borussia Dortmund - Real Madryt (4:1) i 26 listopada 2019 roku w spotkaniu Crvena Zvezda Belgrad - Bayern Monachium (0:6).

W pierwszych spotkaniach fazy play-off Ligi Mistrzów zagrała jeszcze dwójka Polaków. Nicola Zalewski grał do 82. mi-

nuty meczu Borussia Dortmund - Atalanta Bergamo, a jego drużyna przegrała z przedstawicielem Bundesligi 0:2.

Natomiast Piotr Zieliński rozegrał nieco ponad kwadrans w Norwegii, gdzie jego Inter Mediolan sensacyjnie przegrał 1:3 z FK Bodo/Glimt. Według doniesień włoskich mediów najlepszy obecnie polski piłkarz zmagają się z dolegliwościami fizycznymi, które mogą wykluczyć go z występu w ligowym meczu Serie A.

Z pozostałych meczów na pewno uwagę zwraca przede wszystkim efektowne zwycięstwo Galatasaray Stambuł 5:2 nad Juventusem Turyn oraz remis 3:3 belgijskiego Club Brugge z Atletico Madryt. W najtrudniejszych sytuacjach przed rewanżem są wspomniani wcześniej azerski Karabach Agdam oraz aż trzy zespoły z Włoch, które będą musiały odrabiać straty z dobrze dysponowanymi przeciwnikami.

Wyniki pierwszych meczów fazy play off Ligi Mistrzów:

- Galatasaray Stambuł - Juventus FC 5:2;
- AS Monaco - PSG 2:3;
- Borussia Dortmund - Atalanta Bergamo 2:0;
- Benfica Lizbona - Real Madryt 0:1;
- Karabach Agdam - Newcastle United 1:6;
- Olympiakos Pireus - Bayer Leverkusen 0:2;
- Club Brugge - Atletico Madryt 3:3;
- FK Bodo/Glimt - Inter Mediolan 3:1.

Mecze rewanżowe zostaną rozegrane 24 i 25 lutego. Zwycięzcy dwumeczów awansują do 1/8 finału, gdzie czekają już najsilniejsi. Losowanie tej fazy rozgrywek zaplanowano na 27 lutego. Finał obecnej edycji Ligi Mistrzów odbędzie się 30 maja w Budapeszcie. ©



Największym wydarzeniem pierwszych meczów fazy play off Ligi Mistrzów były cztery gole Anthony'ego Gordona w meczu Karabach Agdam - Newcastle United

Pomału mówimy „Arrivederci”. Przed Polakami ostatnia szansa

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

IGRZYSKA. Do zakończenia XXV Zimowych Igrzysk Olimpijskich pozostały tylko trzy dni. Przed nami ostatnie zmagania, ostatnie szanse na zdobycie medalu, ostatnie możliwości przejścia do historii.

Zanim jednak będziemy świadkami ceremonii zakończenia (niedziela, godz. 20.00), zobaczymy jeszcze kilkoro reprezentantów Polski.

Dziś kończą zmagania panczeniści. W hali „Milano Speed Skating Stadium” w wyścigu na 1500 metrów (godz. 16.30) zobaczymy Natalię Czerwonkę, która zalicza swoje piąte igrzyska olimpijskie... Srebrna medalistka z Soczi (2014 r., drużyna) ma już za sobą jeden występ w Mediolanie - w wyścigu na 1000 metrów uplasowała się na 15. miejscu.

- Myślę, że jestem jedyną zawodniczką, która prowadzi swój klub sportowy, zajmując się również jego organizacją - stwierdziła Czerwonka. - Zostawiłam przez ostatnie dwa lata przygotowań te moje dzieci, ale wrócić do nich. Cieszę się, że tak wiele dzieciaków u mnie chce trenować. Jesteśmy w dobrym czasie dla polskiego łyżwiarstwa szybkiego, musimy to wykorzystać i jeszcze przyciągnąć młodych ludzi do uprawiania tego sportu.

W piątek na pewno będziemy kibicowali zimowej For-



Dziś o godz. 16.30 na igrzyskach we Włoszech zobaczymy Natalię Czerwonkę w wyścigu na 1500 m

mule 1. Na torze „Cortina Sliding Centre”, wystartuje nasza żeńska dwójka Linda Weiszewski/Klaudia Adamek (godz. 18.00). Nasza eksportowa pioletka zdążyła już poznać obiekt w Cortinie d'Ampezzo. Kilka dni temu rywalizowała przecież w monobobach, które zostały włączone do programu olimpij-

skiego w 2022 roku. Linda Weiszewski - urodzona w Niemczech - zajęła w tej konkurencji 17. miejsce: w najlepszym, czwartym przejeździe zmierzono jej czas startu 5,52 s (10. miejsce) i prędkość maksymalną 118,42 km/h (11. miejsce).

Z kolei Klaudia Adamek jest pierwszą Polką w historii, która

wystąpi zarówno na letnich, jak i na zimowych igrzyskach olimpijskich! W 2021 roku, tokijskich Igrzyskach XXXII Olimpiady, wzięła udział w sztafecie 4 x 100 metrów, biegając m.in. ze świetną plotkarką Pią Skrzyszowską.

Olimpijskie zmagania kończy również short track. O godz. 20.15 zasiądziemy, aby kibicować Natalii Maliszewskiej, Kamili Sellier i Gabrieli Topolskiej, która spróbują swoich sił w ćwierćfinałach 1500 metrów.

Początkowo Sellier (po mężu Diane Sellier, z domu Stormowska) nie znalazła się w składzie reprezentacji Polski na te igrzyska. Miejsce zwolniło się niedługo po styczniowych mistrzostwach Europy. W grudniu, po zakończeniu rywalizacji w cyklu World Tour, który decydował o liczbie przepustek do Mediolanu, Polska miała po dwa miejsca na każdą konkurencję indywidualną. Awansowała także sztafeta mieszana. W składzie znaleźli się: Natalia Maliszewska, Gabriela Topolska, Michał Niewiński i Felix Pigeon.

- Ja sama śledziłam sytuację na świecie i wiedziałam, co się dzieje - wyjaśnia Kamila. - Wiedziałam, że Wielka Brytania nie wysłała dwóch zawodników, a Australijka, która się zakwalifikowała na 1000 metrów, nie ma paszportu. My byliśmy trzecie w tej kolejce do kwalifikacji. Od stycznia to śledziłam, ale dowiedziałam się dopiero po mistrzostwach Europy. ©

Iwona Januszyk nie wytrzymała. Nerwy puściły

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

SKIALPINIZM. Reprezentanci Polski, Iwona Januszyk i Jan Elantkowski, odpadli w kwalifikacjach sprintu w debiutującym na zimowych igrzyskach olimpijskich skialpinizmie.

33-latką, pochodzącą ze Stawów Grojeckich w okolicach Oświęcimia, uzyskała w swojej serii najsłabszy czas, tracąc do najszybszej, Włoszki Giulii Murady, ponad 17 sekund. Ostatecznie została sklasyfikowana na przedostatnim, 17. miejscu...

Elantkowski również odpadł w kwalifikacjach sprintu i XXV Zimowe Igrzyska Olimpijskie zapamięta indywidualnie z 15. pozycji. Polaków czeka jeszcze start w sztafecie mieszanej (sobota, godz. 13.30).

Po minięciu linii mety byliśmy świadkami iście drama-



Reprezentantka Polski, Iwona Januszyk, ostatecznie została sklasyfikowana na przedostatnim, 17. miejscu

tycznych reakcji pani porucznik Wojska Polskiego. Skąd wzięły się łzy i sportowa złość u pilota wojskowych śmigłowców (wylatanych ponad 100 godzin)?

Roztrzęsiona i wzburzona Iwona Januszyk wyjaśniła, że miała problemy ze sprzętem, a błąd osób odpowiedzialnych

za serwisowanie sprzętu pozabawił ją marzeń.

- Zaraz po starcie przykleiło mi się tyle śniegu pod fokę, że nie mogłam z tym nic zrobić - wyjaśniała roztrzęsiona i wzburzona zawodniczka, która dzisiaj służy w Centralnym Wojskowym Zespole Sportowym. - To wina złego serwisu. To

było straszne. Najstraszniejszy dzień w mojej karierze. Poświęciłam tak wiele, by tu być. Tyle czasu, którego nie spędziłam ze swoim synem, i teraz tego bardzo żałuję. Na przepince nie mogłam nawet ściągnąć fok. Nie wiem, jak można mieć takiego pecha... Widocznie można. Myślałam, że może się uda, że spróbuję na 100 procent i się uda. Ale byłam ostatnia, za zawodniczkami, z którymi nigdy nie przegrałam. Bardzo dużo poświęciłam, żeby tu być. Uważam dzisiaj, że nie było warto. Bo jedna rzecz, losowa, niezależna ode mnie, odebrała mi wszystko. Są tu moi rodzice, którzy zobaczyli, co zobaczyli. Są ludzie przed telewizorami, którzy też to zobaczyli. Jest mi bardzo wstyd. Przepraszam. Normalnie jestem w pierwszej „dziesiątce” Pucharu Świata, a tu jestem ostatnia. Nie chcę tego komentować... ©



FOT. SANDRA SOCZEWA

Dominika Piwkowska (po lewej) i Nikola Domowicz prezentują jeden z otrzymanych prezentów - okolicznościowe sanki

SANECZKARSTWO LUBUSKIE OLIMPIJKI ZOSTAŁY POWITANE JAK MISTRZYNI

Sandra Soczewa
ssoczewa@gazetalubuska.pl

Medalu we Włoszech nie zdobyły, ale w swej rodzinnej gminie zostały powitane jak mistrzynie. W witnickim domu kultury zorganizowano spotkanie z naszymi olimpijkami, saneczkarkami UKS Nowiny Wielkie: Dominiką Piwkowską i Nikolą Domowicz. Były autografy, łyży wzruszenia i ogrom radości.

Miał być tylko eksperyment, wyszedł sukces

Do sali MDK olimpijki weszły w asyście młodych zawodniczek UKS Nowiny Wielkie. Witaa ich Zofia Pocztarek, prezeska klubu, a w tle słyca było piosenkę skomponowaną na ich cześć. W sali rozległy się gromkie brawa, rodzice i bliscy byli wzruszeni, a od dziewczyn emanowała wielka radość i dumna. Te dwa uczucia unosiły się w powietrzu przez całe spotkanie.

Wielkie marzenia z małej miejscowości

- Dwie kobiety, dwa talenty, jeden cel. To dowód na to, że marzenia z małej miejscowości nie są małe i mogą pokonać strach. Stałyście się inspiracją dla dzieci, które pierwszy raz wsiadą na sanki, dla młodych sportowców i dla nas wszystkich. Dziękujemy za emocje i dumę, za to, że możemy powiedzieć „to są nasze dziewczyny”. Dla nas już jesteście zwyciężczyniami - mówiła Zofia Pocztarek do Dominiki i Nikoli.

Dziewczynom gratulowała też m.in. burmistrz Witnicy, Agnieszka Chudziak.

- Jesteście wspaniałymi kobietami, jesteście z was ogromnie dumni. Dokonałyście czegoś niemożliwego. Dumna jest z was cała Polska, gmina Witnica i Nowiny Wielkie. Oglądaliśmy wasz występ z ogromnym napięciem, trzymaliśmy kciuki - mówiła.

Burmistrz wspomniała film „Reggae na lodzie” z 1993 roku o jamajskich bobsleistach. - Te nasze Nowiny są trochę, jak Jamajka. Ani dobrego sprzętu, już nie mówię o torze. Mam nadzieję, że w Karpaczu powstanie tor z prawdziwego zdarzenia - powiedziała Agnieszka Chudziak. - Wybieramy się do Ministerstwa Sportu, mam nadzieję, że ugramy też coś dla Nowin Wielkich. Może nie będzie to tor lodowy, ale taka konstrukcja, na której będzie można ćwiczyć.

Saneczkarki otrzymają od gminy stypendium - po 5 tysięcy złotych.

Za popisowy ślizg na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich we Włoszech dziękowało Dominice i Nikoli mnóstwo osób. Otrzymały wiele bukietów kwiatów i prezentów. Jednym

z najciekawszych był ten od mieszkańców Nowin Wielkich. Dziewczyny dostały... sanki. Mowa nie o nowym sportowym sprzęcie, a ręcznie wykonanym prezencie.

- Na razie będą służyć jako półka na puchary i wieszak na medale, ale kto wie... może jeszcze kiedyś poniosą po kolejne marzenia - stwierdziła sołtys Nowin Wielkich Katarzyna Pęczak.

O tym, że będą dwójką zdecydowano... na weselu

Wiele ciepłych słów usłyszały też osoby, które przyczyniły się do sukcesu olimpijek. Nikola i Dominika dziękowały m.in. rodzicom i prezesce klubu, która, jak przyznały, jest dla nich, jak babcia.

- Dziękujemy również całemu klubowi UKS Nowiny Wielkie. Wszystkim trenerom, zawodnikom, działaczom i osobom zaangażowanym w jego funkcjonowanie. To dzięki wspólnej pracy i wsparciu możemy przeżywać tak piękne chwile i razem cieszyć się z każdego sukcesu. Natomiast szcze-

gólne podziękowania kierujemy do naszego trenera Jacka Zagózdy, który zapoczątkował naszą przygodę w dwójce. Dziękujemy za poświęcony czas, wiedzę i za wiarę w nasze możliwości - mówiły saneczkarki.

Po tych słowach trener Jacek Zagózda opowiedział historię, o której wiedziało niewiele... Jak się okazało, było to zaskoczeniem także dla samych olimpijek.

- Ta dwójka została stworzona podczas wesela Ewy Kuls [była saneczkarka z UKS Nowiny Wielkie, też olimpijka - red.], na którym był m.in. trener reprezentacji Marek Skowroński i z jego ust padło wtedy takie hasło: „Słuchajcie, poszukajcie dwóch najlepszych dziewczyn, zróbcie dwójkę”. Byliśmy zaskoczeni, dopytywaliśmy, czy wchodzi nowa konkurencja

Dominika Piwkowska i Nikola Domowicz na igrzyskach olimpijskich we Włoszech zajęły szóste miejsce w konkurencji dwójek

olimpijska [na tegorocznych igrzyskach miała swój debiut - red.]. Usłyszeliśmy, że będzie to eksperyment. Nigdy kobiety nie jeździły w dwójkach. Wszyscy się bali. Nie wiem czemu to do nas zostało skierowane... - wspominał z uśmiechem Jacek Zagózda.

Ale prośbę Marka Skowrońskiego UKS Nowiny Wielkie postanowiły spełnić.

- Zaczęliśmy o tym myśleć, no i niestety, padło na was (śmiej). Nie było trudno was wytypować, bo byliście najlepsze. Ale musieli się zgodzić wasi rodzice, co stało się po długich namowach. Później oddaliśmy was w ręce kolejnych trenerów, poszłyście do SMS-u i tak wasza kariera się toczyła. Natomiast teraz już wszyscy wiemy, że tego sukcesu nie było bez waszego talentu, waszych rodziców i wesela Ewy Kuls - wyjaśnił trener.

Spełniły swoje największe marzenie

- Jedno z naszych największych marzeń zostało spełnione i na razie koncentrujemy się na tym, co zrobiliśmy. Przed nami kolejne zawody, później chwila odpoczynku i to będzie wtedy ten moment, by pomyśleć, co dalej - powiedziały nam saneczkarki.

Trzeba zaznaczyć, że praktycznie wszyscy typowali, że dziewczyny zajmą na igrzyskach odległą lokatę na IO. Nieśmiało mówiło się o ósmym miejscu, może siódmym. A tu perfekcyjny ślizg i mamy to! Dziewczyny zajęły pozycję. Na nagraniach z Włoch było widać, jak buzowały w nich po tym emocje.

- Były łyzy radości, bo to był naprawdę bardzo ładny ślizg. Byłam pewna, że zrobimy bardzo dobry czas i że wskoczymy o jedno miejsce wyżej. Nie spodziewałam się jednak, że aż o dwa. Emocje wtedy były potężne - mówiła nam Nikola.

- Tak, awansu o dwie pozycje po pierwszym ślizgu nie spodziewałam się. Radość była ogromna - dodała Dominika.

W jednym z wywiadów udzielonym po fenomenalnym wyczynie naszych olimpijek padło hasło, że saneczkarki zjeżdżały na dziewięcioletnim sprzęcie. Czy miał on wpływ na to, które miejsce dziewczyny zajęły na igrzyskach?

- Tego nie wiemy. Nie miałyśmy możliwości przetestowania szybszych metali [tak potocznie nazywa się płozy do sanek - red.] i nie wiemy, czy byśmy dały na nich radę. Może być tak, że dostałybyśmy lepszy sprzęt, a byśmy nie dowiozły tego, co zrobiliśmy teraz. Mogło tak być, ale no nie wiem. To trochę gdybanie. Chciałam natomiast podkreślić, że tą wypowiedzią nikogo nie zamierzałam urazić. Zostałam zapytana w wywiadzie, ile lat ma mój sprzęt i odpowiedziałam. Chociaż faktycznie, pomyliłam się o jeden rok - powiedziała Nikola.

Mimo wszystko, gdy sprawa ujrzała światło dzienne, kibice nie kryli oburzenia z tego, że nie inwestujemy odpowiednio w sprzęt dla naszych sportowców, czy infrastrukturę, bo saneczkarki trenują zagranicą. Czy szum wokół tej sprawy, coś zmieni?

- Mam szczerą nadzieję, że tak. Cztery lata temu była ta sama historia z łyżwami... U nich akurat poskutkowało tym, że panczenistom wybudowano arenę. Zobaczymy, jak będzie u nas. Budowa toru jest ważna, mówiąc o przyszłości saneczkarstwa w Polsce. Posłuży dzieciom, które będą mogły w dobrych warunkach trenować od najmłodszych lat - dodała Dominika.

Zanim wjechały na olimpijski tor...

W rozmowie z „Gazetą Lubuską” zawodniczki opowiedziały też nieco o kulisach ich dyscypliny sportu. Jak przyznały, wymaga ona wielu wyrzeczeń. Będąc seniorką trzeba liczyć się z tym, że poza domem spędza się około 300 dni w roku. - Nasze życie to jest życie na walizkach. Nasza codzienność różni się od tej, jaką mają nasi rówieśnicy. Decydując się na karierę sportową, trzeba mieć to na uwadze, bo nie jest to łatwe - stwierdziła Dominika, a Nikola przyznała, że sport ten wymaga tego, by podporządkować pod niego swoje życie.

Pewnie wiele osób ciekawi też to, jak... zostaje się saneczkarką. Zapytaliśmy olimpijek, czy sanki były ich sportową miłością od pierwszego wejrzenia.

- Miałam siedem lat, jak wsiadłam na sanki. To była taka, no jedna z pierwszych miłości - powiedziała nam z uśmiechem Nikola. Z kolei jej mama, pani Monika, zdradziła, że przez długi czas traktowała to jako „tylko” zainteresowanie. - Wydawało mi się, że to jest tylko zabawa. A tu proszę. Teraz był stres, niedowierzanie, wielka radość. Wszystkie możliwe emocje - wyjaśniała dumna mama olimpijek.

U Dominiki wyglądało to nieco inaczej: - Przypadek. Od zawsze byłam aktywna, lubiłam sport, próbowałam różnych aktywności. Tutaj po prostu przyszyły spore możliwości i weszłam w to.

Co do tego, że Dominika i Nikola mają talent, nie ma wątpliwości. A jakie cechy stoją za tym, że te dwie dziewczyny z niewielkich lubuskich miejscowości, na kilkuletnim sprzęcie, odniosły taki sukces?

- Zawziętość, upór i... - wymienia mama Nikoli.

- I to, że są zajeby***? - dopytaliśmy, nawiązując do wypowiedzi dziewczyn po udanym ślizgu we Włoszech.

- Tak (śmiej). Ale nie chciałam tego powiedzieć na głos - dodała pani Monika. ©©

SPORT

www.sportowy24.pl

SIATKÓWKA

Jeden z najlepszych zespołów Plus Ligi będzie rywalem siatkarzy Cuprum Stilonu Gorzów w 22. kolejce spotkań. Gorzowianie zmierzają się z wiceliderem rozgrywek w najbliższy poniedziałek w stolicy. Początek meczu zaplanowano na godz. 20.00. Zdecydowanymi faworytami będą warszawianie, którzy w dwóch ostatnich sezonach rywalizację kończyli na trzecim stopniu podium.



FOT. JAROSŁAW MIKOWSKI

PIŁKA RĘCZNA

W 17. serii spotkań Ligi Centralnej mężczyzn Rajbud Development podejmie w sobotę o godz. 15.00 Gwardię Koszalin. Gorzowska drużyna będzie faworytem meczu, jej rywal zajmuje przedostatnie miejsce w tabeli.

Czy zastalowcy przełamia szczecińską klątwę?

Maciej Noskowicz
mnoskowicz@gazetalubuska.pl

KOSZYKÓWKA. Liga rządzi się swoimi prawami, ale Puchar Polski to magia jednego meczu, w którym faworyci drżą o wynik, a historia pisze się na nowo. Po kilkuletniej nieobecności koszykarze Orlen Zastalu Zielona Góra wracają na turniej finałowy.

Los nie był jednak łaskawy, na drodze zielonogórczyków - w meczu ćwierćfinałowym turnieju w Sosnowcu - stał obecny lider rozgrywek Orlen Basket Ligi i ich „czarny koń” ostatnich lat: King Szczecin. Piątkowy mecz rozpocznie się o godz. 20.30. Transmisja TV w Polsacie Sport 3.

Mur nie do przebiccia?

Statystyki są dla Zastalu bezlitosne. Drużyna z Winnego Grodu nie zdołała pokonać szczecinian w pięciu ostatnich konfrontacjach. Ostatnia porażka (66:80) miała miejsce w listopadzie 2025 roku, ale recepty na zespół Kinga zielonogórczyków nie potrafili znaleźć ani we własnej hali, ani na wyjeździe już znacznie wcześniej. Ostatnie starcia obu drużyn:



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

Zespół Zastalu Zielona Góra po raz ostatni sięgnął po Puchar Polski w 2021 roku

28.03.2025: King - Orlen Zastal 89:81; 30.11.2024: Orlen Zastal - King 80:101; 10.03.2024: King - Orlen Zastal 95:84; 11.11.2023: Orlen Zastal - King 79:90.

Mecz z podtekstami

Choć King jest tzw. papierowym faworytem, temperatura tego spotkania będzie wyjątkowo wysoka ze względu

na liczne powiązania personalne. Trener Arkadiusz Miłoszewski to architekt największych sukcesów Kinga (mistrzostwo i wicemistrzostwo Polski), a lider Zastalu, Andy Mazurczak, jeszcze w poprzednim sezonie dyrygował grą szczecinian. Poza tym Filip Matczak czy Phil Payne, również mają szczeciński epizod w koszykar-

skim CV. W składzie rywali zobaczymy z kolei byłego kapitana Zastalu, Przemysława Żolnierewicza. Siła Kinga to jednak nie tylko sentymenty. Duet Tomasz Gielo i Nemanja Popović sieje popłoch pod koszami, a Anthony Roberts potwierdza klasę na polskich parkietach. - Do rywalizacji przystępuje osiem najlepszych zespołów.

Każdy może ograć każdego, a o wyniku zadecyduje dyspozycja dnia i mental - mówi trener Kinga, Maciej Majcherek, niegdyś asystent Arkadiusza Miłoszewskiego. - Jedziemy do Sosnowca z jasnym celem: zdobyć Puchar Polski.

Raport medyczny:

Kapitan wraca do gry

Kibice w Zielonej Górze od jakiegoś czasu drżą o zdrowie Andy'ego Mazurczaka. Kapitan zespołu opuścił trzy ostatnie mecze ligowe z powodu bólu pleców, ale już deklaruje gotowość do gry.

- Czuję się dobrze, spięcie w plecach puściło. Zrobimy wszystko, by wygrać - ucina krótko Andy Mazurczak. Problemy nie omijają jednak reszty składu. Na drobne urazy narzekają Sagaba Konate oraz Jakub Szumert. Choć sztab medyczny robi wszystko, by postawić ich na nogi, urazy te wpłynęły na intensywność ostatnich treningów.

Szanse? 50 na 50

Mimo przewagi Kinga w ligowej tabeli, pucharowa aura sprzyja niespodziankom. Paweł Szczeciński, legenda Zastalu, optymistycznie patrzy

na nadchodzące starcie. - King nie jest zespołem grającym aż tak fizycznie, możemy się im przeciwstawić. Jeśli nasi liderzy wejdą na wyższy poziom, szanse oceniam 50 na 50. Zwycięstwo w tym meczu może otworzyć nam drogę nawet do końcowego triumfu - uważa Paweł Szczeciński.

Zastal wie, jak smakuje zdobycie tego trofeum. Zielonogórczyźanie zdobywali Puchar Polski trzykrotnie: w Gdyni (2015), Warszawie (2017) i Lublinie (2021). Trzykrotnie kończyli też zmagania na drugim stopniu podium.

Nie tylko emocje drużynowe

W Sosnowcu zobaczymy reprezentantów Zastalu także w konkursach indywidualnych. Marcin Woroniecki powalczy o tytuł króla strzelców z dystansu, a Phil Payne spróbuje swoich sił w konkursie wsadów (warto przypomnieć, że wygrał go w 2023 roku, reprezentując jeszcze barwy Kinga). Jeśli Zastal przełamie klątwę szczecinian, w sobotnim (21 lutego, godz. 19.00) półfinale zmierzy się ze zwycięzcą pary Śląsk Wrocław - Dzikie Warszawa. Pojedynek finałowy zaplanowano na niedzielę (godz. 17.30). ©

MOIM ZDANIEM

Andrzej Flügel



Oglądając ostatnio na żywo to, co gwizdali sędziowie w meczu ekstraklasy koszykarzy MKS Dąbrowa Górnicza - Orlen Zastal Zielona Góra, przypomniałem sobie tytuł mojego felietonu sprzed ponad dwudziestu kilku lat: „Szare sweterki”. Pisałem wówczas o sędziach, którzy w niektórych meczach krzywdzili

walczący o utrzymanie Zastal. Minęły lata, liga stała się profesjonalna, są kamery, można poprosić o sprawdzenie, kto miał rację. Mamy transmisje ze wszystkich spotkań, są portale koszykarskie szybko wychytujące jakieś sędziowskie błamaże. Niby już nie można zamieść pod dywan tego, jak arbitrzy „dają ciała”. Tylko co z tego? Nadal potrafią, nie wie-

SZARE SWETERKI I DZIWNE GWIZDKI

dzie czemu tak, jak ta trójka w Dąbrowie, gwizdać dziwnie jednostronnie, dokładać swoje interpretacje, widzieć coś, czego nie widzi widownia i ludzie przed telewizorami. Od razu chcę zaznaczyć, że nie uważam tej trójki za jedynych sprawców porażki Zastalu, bo nawet zagrani słabo i gdyby byli tam na swoim poziomie, to nic by im nie przeszkodziło w zwycięstwie, nawet dziwne gwizdki i 41 rzutów wolnych rywała przy 23 zielonogórczyków.

Co ciekawe, w futbolu jest magazyn podsumowujący każdą kolejkę ligową, gdzie błędy sędziowskie są wytykane z całą surowością, a były

arbitr międzynarodowy pokazuje, dlaczego powinien być, na przykład rzut karny, albo dlaczego go nie było. Podobnie jest w żużlu i siatkówce. Tylko w koszykówce dalej jest to samo. Mamy kamery, mecze są transmitowane, trudno „babole” arbitrow, tak jak kiedyś, przemilczeć i ukryć. Tylko co z tego? Kibice pogadają na forach, portale koszykarskie napiszą, a „szare sweterki” ciągle są nietykane, mogą się seryjnie mylić i to bez konsekwencji.

Mam nadzieję, że zielonogórczyźanie w meczu Pucharu Polski z Kingiem Szczecin nie trafią na taką wesołą trójkę ar-

bitrów. Inna sprawa to taka, że muszą zagrać lepiej niż w Dąbrowie. Oby tak się stało...

Do inauguracji piłkarskiej wiosny w trzeciej lidze został tydzień. Oczywiście, o ile się odbędzie, bo zima jeszcze trzyma i nie chce puścić. To będzie najciekawsza wiosna od lat, bo lubuski zespół, czyli zielonogórska Lechia, ma wielką szansę awansu na szczebel centralny. Niektórzy już widzą zespół w drugiej lidze. Poczekajmy, dmu-chajmy na zimne, bo zespół czeka ostra walka, a rywale powzmacniają się. Nie da się jednak ukryć, że takiej szansy nie było od dawna i trzeba ją wy-

korzystać. Kibice Lechii najprawdopodobniej nie zobaczą zespołu w przyszłą sobotę, bo wprowadzić nie ma jeszcze oficjalnego komunikatu, ale wszystko wskazuje na to, że z rozgrywek wycofa się Stal Jasiień. Co by nie mówić, jakby nie oceniać, szkoda, że pomysły budowy fajnego futbolu w tym miasteczku, od klasy B do trzeciej ligi, okazał się fiaskiem. Pytanie: w którym momencie to wszystko przerosło możliwości pomysłodawców i jak dalece rozjechały się ambicje i pomysły z realizacją? Cemu nie potrafią mierzyć sił na zamiary? Ciekaw jestem czy ktoś na to odpowie... ©

GAZETA LUBUSKA

www.gazetalubuska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktor naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Aleksandra Sobolewska**

Redakcja al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra
skr. pocztowa 120, tel. 683248600, 683248805
fax 683248872, redakcja@gazetalubuska.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia
85-438 Bydgoszcz, ul. Grunwaldzka 229

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**

Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**

Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**

Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10

